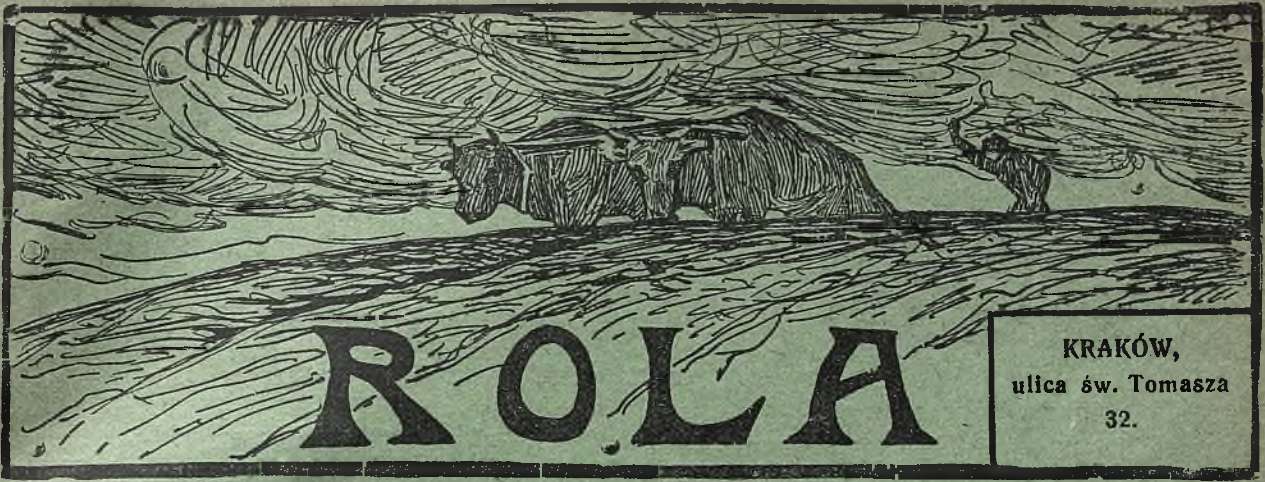
Numer 2. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 9 Stycznia 1927



ROLA

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

Odparł mu.

Pewien panicz wyśmiewał chłopca wiejskiego, że ma długie uszy.

— Prawda — rzecze chłopak — jak na człowieka mam za długie uszy, lecz pan ma znowu za krótkie, jak na osła.



Ciekawe życzenie.

— Szczególna rzecz, wiele razy was spotykam zawsze wychodzicie z karczmy.

— A co, ty chciałeś, żebym nigdy stamtąd nie wychodził?



Pokazał mu...

Policjant (do śpiącego na ulicy):

— Człowieku! Tu nie możecie spać!

Śpiący: — Dlaczego nie? I owszem! O! patrz pan! To rzekłszy począł spać dalej.



Poszedł po rozum do głowy.

— Dlaczego ty, Maćku, zawsze kłamiesz?

— A juści, jakze nie mam kłamać? Raz powiedziałem okumonowi prawdę, że jest złodziej, tom za to bez trzy dni w kozie siedział.

Nie może się połapać.

— Wszak ty z bratem jesteście bliźniakami?

— Niestety!

— Czemu niestety?

— Bo ojciec połapać się nie może, który z nas coś źrobił i za każdym razem bije obydwóch.

Na jarmarku.

— Wielaśta wzieni za kobyłę, Jakóbie?

— Icek dał 180 złotych i kwartę wódki.

— A toć wam Michał Skrzeptowski dawał 185 złotych.

— Juści, dawał, ale przez wódki.



Dziwny człowiek.

— Dziwny z pana człowiek! Raz robi Pan takie wspaniałe wrażenie człowieka energicznego, a czasem to z pana istna baba!

— Tak, to jest nieszczęśliwe dziedzictwo po moich przodkach. Połowa z nich była mianowicie rodzaju męskiego, a druga żeńskiego.



Energiczna panna.

— Mamusiu! wydaj mnie za mąż koniecznie w tym roku!

— Ach! moja droga, kiedy cię nikt nie chce.

— To też niech mama wcale na to nie zważa.

Rozszerzajcie „Rolę“
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.

Prosimy o wyraźne i dokładne pisanie adresów, szczególnie ostatniej poczty.

Numer 2. Rok X. Kraków, dnia 9 Stycznia 1927.

ROLA

KRAKÓW, ulica św. Tomasza 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. Ogłoszenia zwykłe 20 groszy za jeden wiersz milimetrowy jednoszpaltowy (9 cm.), ogłoszenia zamiejscowe o 20 proc. droższe. — Adres na listy do Redakcji i Administracji:

Kraków, św. Tomasza 32.

Jasełka, szopki i kolendy.

Wprawdzie święta Bożego Narodzenia należą już do przeszłości, ale okres świąteczny trwa dalej i zakończy się dopiero w dzień Matki Boskiej Gromnicznej. A przez cały ten okres rozbrzmiewają wesołe a rzewne kolendy, chodzą chłopcy z szopkami i wystawiają tu i ówdzie „Jasełka“.

Początek „Jasełek“ sięga bardzo odległych wieków. Trudno ustalić bezsprzecznie, gdzie, kiedy i w jakiej formie pojawiły się one poraz pierwszy. Jednak mniemanie, jakoby pierwszy pomysł do nich dał św. Franciszek z Assyżu, wydaje się zupełnie prawdopodabne. Gdyby przypuszczenie to przyjęliśmy za pewnik, początek „Jasełek“ sięgałby 1200 roku. Zjawiły się one najpierw w kościołach, będących pod zarządem OO. Franciszkanów i w ten sposób przedostały się wcześnie i do nas.

W Polsce pierwsze „Jasełka“ urządzono w kościele św. Anny w Warszawie. Pokazywano tam ponadto, ale już nie w samym kościele, lecz w izbie gościnnej przy furcie klasztornej kołyskę Chrystusa Pana. Była to kolebka suto w kwiaty i bogate materje przystrojona. W kolebce leżała" osóbka Pana Jezusa naturalnej wielkości, a nad nią stały figury Najświętszej Panny i św. Józefa. Wystawiano ją raz w rok, w sam dzień Bożego Narodzenia, w którym to czasie odbywały się przy niej świewy kolend i grała muzyka.

Z czasem poczęto organizować „Jasełka“ ruchome, urozmaicając sceny nabożne scenami świeckiemi, często nawet bardzo zabawnemi. Lalki na sprężynach wykonywały rozmaite rzeczy, odnoszące się do wydarzeń z dziecięctwa i młodości Chrystusa Pana. Był to początek przyszłych szopek. Z Warszawy zwyczaj pokazywania szopek szybko rozszedł się po całej Polsce.

Szopki te jednak bywały często „skoszlawione“, gdyż przeplatano je często śpiewkami, niemającemi nic z kolendami wspólnego, a niejednokrotnie nawet sprośnemi. Toteż bywały wypadki, że duchowieństwo musiało zakazywać wystawiania takich szopek.

Z czasem z szopek wytworzyły się dzisiejsze „Jasełka“, w których sztuczne lalki zastępują żywe osoby. „Jasełka“ takie dobrze wykonane są prawdziwą rozkoszą dla młodych i starszych.

Kolendy posiadają wszystkie chrześcijańskie narody, ale takich pięknych muzycznie jak polskie, nie posiada żaden inny naród. Kolendy polskie, tak różnorodne w pomysłach, to skoczne, to rzewne, to podniosłe, to znów figlarne, są nieprzebranym skarbem, z którego nasi muzycy mogą czerpać obficie swe pomysły. Zaś słowa naszych kolend to istotne poematy ludowego humoru i sentymentu. Mało jest kolend, których autorów moglibyśmy wymienić po nazwisku. Większość z nich tworzyli wiejscy poeci, często niepiśmienni. Utwór ich przechodził z ust do ust, z okolicy do okolicy, aż wreszcie ktoś, kiedyś go spisał i nam pozostawił na wieczną pamiątkę. Taksamo ma się rzecz i z muzyką kolendową. Powstała ona nieraz w ustach prostaczka, przebiegała wszystkie krainy polskie, aby wreszcie dojść do uszu uczonego muzyka, który ją wygładził, upiększył i przelał na papier, aby w nowej formie służyła dalszem pokoleniom. Do najwybitniejszych i zasłużeńszych pod tym względem muzyków należą: Maszyński, Niewiadomski. Nowowiejski, Rzepko, Karuzo, Kamieński, Krogulski, Suszyński i wielu innych.

A ileż jeszcze przepięknych kolend „tuła“ się po Polsce, czekając na mistrzowską rękę muzyka, aby je ujął w karby harmonji i rozpowszechnił po całej naszej ziemicy!

Tajemnica na dworze królewskim.

Powieść historyczna.

Tak upłynęło im kilka tygodni w Tyńcu wśród ciszy i spokoju. Życie klasztorne, które zrazu tak im się straszne wydawało, z każdym dniem było znośniejsze. Wszyscy ojcowie, z którymi się choć trochę rozmówić mogli, tak dla nich byli uprzejmi, tak weseli, że obcując z nimi, mimowolnie się smutku pozbywało. Młody Odon był im tłomaczem i przewodnikiem, kilku też innych zakonników już się po trosze z nimi rozmówić umiało.

Nie zbywało też tu na przedmiotach ciekawość obudzających. Klasztor był ich pełnym. Szczególny jednak urok miało dla nich pismo, te znaki ciemne, tajemnicze, które myśl w sobie spowitą mogły nieść na drugi koniec świata i w wieki odległe.

Nie przystawało im, jako rycerzom uczyć się tego, lecz patrzeć lubili, gdy w wielkiej izbie wszyscy ojcowie zajęci byli wielką robotą, jakto tam szła praca podziałem raźnie i pięknie. W klasztorach Benedyktynów, w których przepisywanie rękopisów było nieomal głównem zajęciem, dzieliła się praca na wiele rąk i głów, począwszy od najpośledniejszej aż do najważniejszej, najzawikłańszej. Tak najstarsi z braci nic więcej nie robili, tylko atrament i kolory przygotowywali. Tych braciszków zwano ojcami atramentarjuszami. Inny znów braciszek, siedząc u okna, strugał trzciny i zacinał pióra. Był to jeszcze człowiek młody i silny, to też zostawał często odwoływany od tej roboty do noszenia wody, rąbania drew, a szedł z taką ochotą, jakby do najmilszej rozrywki. Osobny stół miał O. Teodorych, który pergamin czyścił i wygładzał. Do tego i siły i zręczności potrzeba było. Nad niejedną buntowniczą skórką dobrze się musiał namęczyć, lecz pociechę też miał, gdy szorstka i twarda, w rękach jego stała się śnieżysto białą i połyskującą. Z niej dopiero inny brat wycinał pod miarę kartki, przeznaczone na złożenie księgi, a malutkie zrzynki przeznaczano na pośledniejsze użytki.

Ze stołu tego przechodził pergamin do ojca Rubryki, który siedział wygodnie i czerwonemi linjami kreślił na białych kartach przyszłe wiersze rękopisu.

Kilku młodszych braci pisało i nad nimi stawali Jaksowie najdłużej, przypatrując się jak powstawały te ozdobne, różnobarwnymi floresami przystrojone głoski.

Na ostatek w kącie pod oknem siedzący z pomocnikami staruszek ,spajał rozpierzchłe karty i okrywał okładzinami.

A gdy w pocie czoła wywiedziona na świat księga skończoną była i odnieść ją mianc do przeora, co za radość? Jak się każdy cieszył, co się do tego choć w cząstce przyczynił! Nikt powiedzieć nie mógł, aby ten skarb był jego dziełem, ba składali się nań wszyscy! Może też zwyczaj tego podziału pracy u OO. Benedktynów miał na celu właśnie, aby żaden dumnym być nią nie mógł. Po ukończonej pracy i modlitwie, zgromadzali się zwykle wszyscy braciszkowie, jako też i nasi dwaj wygnańcy do obszernej izby i tam przeor zabawiał ich opowiadaniem różnych zdarzeń z przeszłości.

Pomimo, że Jaksów bawiło rozglądanie się w tem życiu klasztornem, tęsknota za swobodą a przynajmniej za łowami, nie opuszczała ich ani na chwilę. Wreszcie Jurga ośmielił się przemówić na osobności do przeora:

— A! mój Ojcze! mamy do was prośbę wielką! Bóg widzi, że nie dla mnie samego... o brata mi więcej chodzi. Myśmy tak do zamknięcia między czterema ścianami nie przywykli, Andruszka mi usychła, patrząc na lasy... Gdybyście pozwolili nam na łowy wyjechać...

Prośba ta była tak naturalną naówczas ze strony wojaków, iż się jej przeor nie zadziwił wcale. Uśmiechnął się więc łagodnie.

— Któżby wam tego zabronił? — rzekł — lecz sami zważcie, na co się wystawiacie. W Krakowie gości dużo rycerzy, co was znać i poznać mogą. A oni nieomal codzień wyjeżdżają w lasy na łowy. Jesteścież więc pewni, że się z nimi nie spotkacie? A jeśli się spotkacie z takimi, co was znają, narazicie nietylko siebie, ale i innych...

— A Ojcze przeorze! — zawołał Jurga — lasy szerokie, miejsca dosyć... ucho mamy bystre, konie rącze... nie boimy się ani napaści z nienacka, ani pogoni...

— Więc czyńcie, jak chcecie — rzekł Benedyktyn — lecz strzeżcie się, byście nie wpadli w nieszczęście.

Jurga pocałował go w rękę i pobiegł oznajmić bratu tę wieść radosną.

Andruszka ucieszył się niemało, lecz rzekł po chwili namysłu:

— A jeśli się co stanie?

— Cóż się stać może?

— Nuż spotkamy kogo?

— Alboż nas kto może pochwycić z nienacka? — rzekł Jurga.

Pomimo wahania Andruszki, znać było po nim, że się tej pokusie oprzeć nie zdoła.

— Więc jutro do dnia na łowy! — zawołał — jutro do dnia.

I przez cały wieczór cieszyli się, jak dzieci; ręce im drżały do oszczepów.

— W las! w las! — powtarzał to jeden, to drugi...

I po pierwszej Mszy świętej pobiegli do stajni, a w chwilę potem już ich w klasztorze nie było.

IX.

Ranek był jakby dla łowów wybrany i pod szczęśliwą wróżbą wyjechali Jaksowie za wrota.

Świat im się śmiał cały! Zdawało się im, że powracają do owych dobrych czasów... co się tak źle skończyły. Radość, że mogą oddychać znów świeżem powietrzem, upajająco na nich działała.

Rozglądali się uważnie po okolicy, aby z powrotem nie zmylić drogi. Lecz przytem zważali też bacznie na ślady stóp rozmaitych zwierząt, które na świeżo spadłym w nocy śniegu wyraźnie się okazywały.

Wtem Jurga syknął, wskazując świeże tropy:

— To ślady dzika — zawołał — pogońmy za nim!

Ruszyli spieszno, rozstępując się nieco, tak, aby tropy odyńca w pośrodek wziąć między siebie. W kilku miejscach wałęsający się dzik próbował ryć, ale nie mogąc zamarzłej ziemi poruszyć, biegł dalej.

Jaksowie, zapomniawszy już o wszystkiem, z oczyma wlepionemi w ślady zwierza, gorączkowo doganiać go zaczęli. Zdala widać już było przysiadłego, ogromnego odyńca, z najeżoną sierścią, bielejącymi kłami z olbrzymim ryjem. Ten zobaczywszy jeźdźców, ryknął krótko i począł uchodzić. Zwierz był niezmiernego wzrostu, niezgrabny, ciężki, ale straszny siłą. Wpadł na zaspę śniegową, w której się ukrył

prawie do grzbietu i wyskoczył z niej na kłodę, przy której śnieg się nagromadził. Za tą był chrust i gąszcz powikłany, a z niego się wydobyć przychodziło mu z trudnością, gdy Andruszka dopadł go pierwszy i oszczepem żgnął po grzbiecie. Oszczep uwiązł w boku odyńca, lecz śmiertelnego nie zadał mu ciosu. Jurga z drugiej strony zabierał się go dokonać, gdy rozjuszone zwierzę koniowi jego, przednie nogi kłami rozcięło. Koń i jeździec padli obaj tuż obok odyńca, który paszczęką krwawą bronił się wściekle. Ale Jurga nie tracąc przytomności, dobył miecza i uskoczywszy na bok, tak zręcznie ugodził nim dzika, że ten krwią oblany padł nieżywy.

Drogo to było okupione zwycięstwo, bo koń miał nogi rozcięte tak, że się tylko na skórze trzymały. Biedne zwierzę tarzało się, pasując z bólem i śmiercią. Jaksowie stali przerażeni tym wypadkiem. Jurdze żal było konia nieomal jak przyjaciela, stał nad nim z załamanemi rękoma.

Wreszcie nic mu pomóc nie mogąc, przerżnął mu gardło z litości. Andruszka zsiadł także z swego konia i tak stali niemi nad swą nieszczęsną zwierzyną, nie wiedząc, co z sobą począć. Gdy tak stali bezradnie, usłyszeli nagle tętent konia i wkrótce ujrzeli jeźdźca, zbliżającego się ku nim, który na szczęście zupełnie był im nieznany. Był to w podeszłym już wieku mężczyzna, okryty kożuchem niedźwiedzim, włosem na wierzch wyłożonym. Na głowie czapka ze łba wilka z białymi kłami nadawała mu straszne oblicze, co jeszcze powiększała długa, siwa broda rozczochrana. Uzbrojenie miał staroświeckie, ciężki topór, mały mieczyk, dzidę w ręku. Stanąwszy na koniu opodal dwóch braci, spoglądał z widocznem podziwieniem na nich i na zabitego dzika i konia.

Stał jakby tu był w domu i jakby czekał, aby ci obcy najpierw do niego przemówili. Oni zaś wcale do tego nie mieli ochoty.

Wreszcie nie pozdrowiwszy ich po chrześcijańsku, co obydwóch uderzyło, zawołał:

— Droga zwierzyna! Skąd wy?

Andruszce się nie bardzo odpowiadać chciało, lecz zbyć go trzeba było.

— Byliśmy w gościnie u Ojców na Tyńcu — rzekł — pozwolili nam zapolować... a no łowy się udały...

Nieznajomy zmierzył braci oczyma. Wspomnienie o Ojcach i Tyńcu nie zdawało mu się do smaku.

— Pewnie królewscy jesteście, od dworu? — zapytał?

— Jesteśmy wojacy, nie dworacy — odparł Jurga.

Stary głową pokręcił.

— Co myślicie poczynać? — zapytał.

— Wracać jeden pieszo, drugi konno — odparł Jurga.

— A dzik?

— Możecie go sobie wziąć, jeżeli chcecie — odezwał się Andruszka — nam się na nic nie przyda.

— Doprawdy? — spytał stary — wieprz co się zowie, wypasł się bodaj u mnie, rad mu będę... Ale podarunków nie biorę... niedaleko stąd moja dziura... spocznijcie u mnie. W klasztorze o smaku mięsa zapomnieliście, a i miodu oni tam sycić nie umieją te czarowniki z za morza.

Ręką pogardliwie rzucił.

— Wracać bo nam trzeba — odezwał się Andruszka niespokojnie.

— Wrócicie wczas, drogę wam pokażę — mówił stary — gościną ubogą gardzić się nie godzi.

I pomyślawszy, dodał:

— Może nie macie ochoty iść, nie wiedząc do kogo? Stary jestem człek, którego ojcowie cały ten kraj niegdyś dokoła trzymali. Nasz on był. Dziś u nas nikt nic nie ma, król jeden wszystko... Nowa wiara, pany nowe... jam starych lat człowiek i żebrak... Została mi zagroda i prawo do łowów. Resztę mnichom dano. Zabiorą tu dokoła wszystko co zechcą. Któż tu panem, jeśli nie oni?... Król ich pierwszy sługa.

Zdumiony Jurga wtrącił:

— Nie jesteście chyba chrześcijaninem?

— Albo się ciebie pytam — odparł dumnie stary — z jakim trzymasz Bogiem?

— Chcecie do Starżowej skały — rzekł po chwili, dobrze, nie, to niech dzik gnije, a wy bywajcie zdrowi... ale po staremu, gościną gardzić się nie godzi.

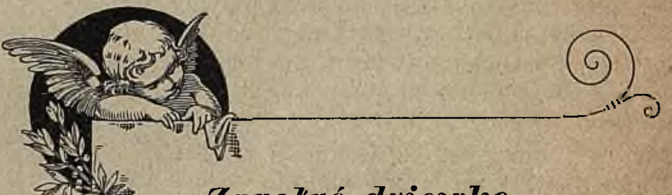
Bracia spojrzeli na siebie. Niebezpieczeństwo im nie groziło u tego człowieka, co sierdził się na króla i na nowe sprawy. Ciekawość ich brała. Skinęli ku sobie i Andruszka głową skinął na znak przyzwolenia.

Stary dobył z za odzieży małego rogu myśliwskiego i krótko zatrąbił w niego.

Na ten odgłos dwóch ludzi wybiegło z gąszcza z oszczepami. Stary pokazał im ręką dzika, i nic nie mówiąc, ruszył naprzód. Jurga na konia brata skoczył z tyłu, siodło swoje wziąwszy na plecy.

Nie mówiąc słowa, prowadził ich z sobą stary Domosul Starża. W klasztorze nic o nim dotąd nie słyszeli, lecz był to człowiek z dumy, uporu i dzikości znany. Przez to potracił swe włości, a nie chcąc się ochrzcić, zupełnie się od ludzi odłączył. Mieszkowi i Bolesławowi wypowiedział posłuszeństwo, ziemie dał sobie pozabierać i przez litość tylko zostawiono go do żywota na małym gródku, nie broniąc mu łowów.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Zgasłaś dziewko.

Zgasłaś dziewko jasnowłosa,
Stolarz tobie trumnę ciosa.

Słychać pracę poza ścianą —
Jutro będzisez pochowaną.

Już nie marzysz o kochanku
W wiośnie życia i poranku.

Po twej śmierci pozostała,
Nieskończona suknia biała.

Tyś ją szyła na śmierć swoją:
Ubiorą cię w nią, ustroją.

Oni cię w niej pochowają
Bo kochają, tak kochają,

Będziesz leżeć w zimnym grobie,
Aż się wioska przyśni tobie.

Aż się przyśni świat kochany —
Cień twój życia zapomniany...

Zgasłaś dziewko jasnowłosa,
Stolarz tobie trumnę ciosa.

Fr. Lipiński.



Dziwy w świecie.

Starożytna historja grecka opisuje, że w dawnych czasach żyło dwóch braci, Idas i Lynkeus, z których ostatni miał tak bystry wzrok, że widział nawet to, co było we wnętrzu ziemi. Zakrawa to trochę na bajkę, a jednak może to być prawdą. Są bowiem ludzie, którzy mają osobliwy zmysł dla rzeczy ukrytych. Widzą oni wnętrze ziemi, jakby było ze szkła, żyły wodne, skarby metalowe, nawet zwłoki ludzkie w kamiennych grobowcach. Do najsławniejszych pod tym względem należała niejaka panna Pedegache w Lizbonie, stolicy Portugalji, dla której nawet ciało ludzkie było przeźroczyste; widziała, jak krew płynie w żyłach, jak serce bije itp. Dlatego też łatwo rozpoznawała przyczyny choroby.

Niektórzy ludzie mają tak delikatny wzrok, że wprost w to uwierzyć się nie chce. Oto naprzykład w Anglji żył zegarmistrz nazwiskiem Bowerik, który zrobił 3 stoliki, 1 zwierciadełko, 12 stołeczków z poręczami, 6 miseczek, 12 nożyków, 12 widelców, 12 łyżeczek, 2 solniczki, jednego pana i jedną panią, a wszystko tak maleńkie, że umieścił to w pestce od śliwki.

Są ludzie, odznaczający się nadzwyczaj silnym wzrokiem. We Francji np. żył człowiek, nazwiskiem Tomasz Case, który miał taką moc w oczach, że osoba, w którą wbił swój wzrok, dostawała na całem ciele drgawek, upadała na ziemię, przewracała się jak opętana, a z ust jej płynęła piana. Dyrektor Muzeum zoologicznego w Medjolanie posiadał tak silny wzrok, że zapomocą jego ubezwładniał węże i jaszczurki, zaś w Algierze żył człowiek nazwiskiem Sidi Hamed Ben, którego wzrok działał nawet na lwy. Najpierw wołał on lwa do siebie, a gdy się zwierz przybliżył, Sidi Hamed przeszywał go swoim wzrokiem, a potem zabijał strzelbą.

Że człowiek, mający oczy, posiada w nich tak wielką siłę, jest to rzecz zrozumiała, ale zdarzają się przecież ludzie ślepi, którzy nieraz lepiej widzą od patrzących. Oto w okolicy Manchesteru w Anglji żył człowiek, który utracił wzrok w dzieciństwie. Człowiek trudnił się najpierw furmanką i służył w nocy, jako przewodnik po bezdrożnych okolicach. W końcu zrobiono go dozorcą dróg w okolicy górzystej, który to urząd spełniał doskonale. Robił nawet plany na budowę nowych dróg, do czego potrzeba nadzwyczajnej znajomości terenu. A znów pewna pani, która straciła nagle wzrok, zapomocą palców rozpoznawała barwy, a nawet ich odcienie. Jej wyszywania były zadziwiająco piękne, pismo ładne, regularne, a kiedy opuściła przypadkowo jaką literę, wpisywała ją później w tem samem miejscu, gdzie była opuszczona.

Podobne objawy można zauważyć i u ludzi głuchych. Ileż to razy człowiek zupełnie głuchy pierwej „usłyszy" jakiś głos od ludzi słyszących. Pewien głuchy nadleśniczy, nazwiskiem Kersting, rozumiał swoją żonę, gdy ta mówiła mu do ręki.

A teraz znowu garść innych nadzwyczajności.

Oto pewien Włoch dostał nagle pomieszania zmysłów i mówił najzupełniej poprawnie językiem szwedzkim, którego przedtem zupełnie nie rozumiał. Gdy obłąkanie minęło, Włoch ów nie potrafił po szwedzku i słowa wypowiedzieć.

Uczony grecki, Arystoteles, opowiada, że raz biła się kura z kogutem i w walce tej pokonała go. Po zwycięstwie kurze wyrósł grzebień i ostrogi kogucie.

Hiszpan, Diego Osorius, który na rozkaz króla został wtrącony do więzienia, osiwiał, ale gdy go wypuszczono znowu na wolność, odzyskał dawny czarny kolor włosów. Jeszcze osobliwszy wypadek zdarzył się pewnej staruszce, która wskutek choroby straciła swe siwiuteńkie włosy. Jakież było jednak jej zdziwienie, gdy po pewnym czasie w miejsce siwych włosów wyrosły jej zupełnie czarne.

O zabawnym wypadku opowiada Plutarch. Za jego czasów w Milos zapanowała u dziewcząt manja samobójcza. Dziewczęta tamtejsze dostały jakiegoś szału i mimo nadzwyczajnych zapobiegawczych środków nie zdołano ich powstrzymać od tych okrutnych czynów. Zdawało się, że wkrótce wszystkie tamtejsze dziewczęta zginą śmiercią samobójczą. Gdy wszystkie środki okazały się bezskuteczne, jakiś dowcipniś ogłosił, że każda samobójczyni po śmierci będzie włóczona po ulicach zupełnie nago. Nie wierzyły. Ale gdy po najświeższem samobójstwie zastosowano rzeczywiście ten środek, samobójstwo już więcej się nie powtórzyło.

Żona pewnego lekarza w Paryżu przestraszyła się, ujrzawszy jakiegoś pijanego, obrzydliwego żebraka. W jakiś czas potem urodziła zupełnie podobnego chłopczyka, z takiemi samemi nabrzmiałemi oczyma, rozpalonemi i spuchniętemi ustami itd.

Gdy w roku 1812 Francuzi byli w Moskwie, zdarzyło się, że w jednej zamkniętej ulicy walczył kozak z Francuzem. Pewien mieszkaniec, który przypadkowo znalazł się na tej ulicy, z śmiertelną trwogą patrzył, jak kozak zadawał rany Francuzowi. Mieszkaniec ów, wróciwszy do domu, znalazł na swojem ciele te same rany, które w jego oczach kozak zadawał Francuzowi; z ran ciekła nawet krew i musiano wezwać lekarza.

(Dokończenie nastąpi).

Przy przesyłaniu prenumeraty, o ile jest więcej jak jedna, prosimy wyszczególnić dla kogo prenumerata jest przeznaczona. Również prosimy o wyraźne pisanie adresów, szczególnie nazwisk przy prędkiem wyrobionem piśmie.

ODWRÓT NAPOLEONA Z MOSKWY.



Wielki cesarz Francuzów, Napoleon, zawojowawszy niemal całą Europę, postanowił w 1812 roku rozgromić również i Rosję. W tym celu wyruszył w głąb Rosji, dotarł do Moskwy, ale stamtąd, zmuszony głodem, zarządził odwrót swego wojska. Przy przejściu przez Berezynę, co przedstawia nasz obrazek, poniósł ostateczną klęskę.



Maciek Bzdura gada:

Ino święty jadwient i gody minęły, zaraz wszelakie uspodnicone stworzenie do mnie się na Amen zabrało, aby mnie mojego kawalirskiego wianka pozbawić i do ontarza zaprowadzić. Ale z chłopem to nie taki łatwy interes, jak z kubitą. Na dzieuchę mrugnij ino jednym palcem, to ona na śtyrech nogach za tobą poleci i w przeciągu miesiąca ślub i chrzciny gotowe. A ze nie łzę, ino prawdę mówię, to mogą poświadcyć wszyscy ludzie, co się na tem znają.

Opowiadali mi nieboscka babka jesce przed wojną, jak to króle i cysarze zyły jesce na świecie, ze raz u Miemców posło o to, co ja dziś mówię, o zakład. Zył tam jeden taki potęzny chłop, Bismark na niego wołali, co nicem cysarz wszyćkiem rządził i wszyscy się go bali okrutecnie. Ale znalazł się jeden taki, co się go nie bał, i tak pada do niego:

— Panie Bismark! Choć ty jesteś taki mocarny i wszyćkiemu dawałeś dotychczas radę, to przecie nawet ty babie nie podołas. Bo jak się baba uweźnie, to ona cię na dudka wystrychnie, a nie ty ją.

Ale Bismark pewniuteńki swojej siły pedzioł, ze nima takiej baby na świecie, któraby nie zrobiła tego, co on zechce. I tak z słowa do słowa, aż posło o zakład, ze Bismark zbałamuci babę jednego hrabiego, ogromnie ładną i taką cnotliwą, jak sam ksiądz probosc.

Bismark, załozywsy się, popluł w garście, pogładził swoje trzy włosy na głowie i choć mu do kopy lat niewiele brakowało, wybrał się na bal cesarski, aby ów zakład wygrać. Na balu ocywiście była i owa hrabina, która jednak nikogo poza swojem hrabiem nie widziała. Ale Bismark był człek wytrwały, więc tez zaraz przysed do owej hrabiny i pada:

— Pani hrabino! Takiej dzieuchy, jak pani hrabina, to nima na całem świecie, ani nawet w Psi Wólce, ani w Ameryce, ani nigdzie. Gdybym tak miał ze trzydzieści lat mniej, tobym się zaraz z tobą ozenił.

Oburzyła się hrabina na takie gadanie i pada:

— Za kogo mnie pan ma? Cy ja to jaka Kaśka Myrdalonka, by za byle chłopem lecieć, jak ino na nią palcem mrugnie!

— Wiem ci ja, pani hrabino, pada Bismark, i la tego mówię, ze połowę swego majątku dałbym, a mam go bardzo duzo, abyś ty porzuciła swojego hrabiego i posła ze mną.

— Mości ksiązę — pada hrabina, bo Bismark był księciem — pan się zapomina. Ja jestem mężatką i do tego ućciwą... Proszę do mnie tak nie mówić!...

— Coby ta nie — powiada Bismark. — Na to jest gęba, zeby nią nietylko jeść, ale i gadać! Więc będę gadał i jesce raz powiem, ze nietylko połowę majątku, ale cały majątek dałbym, aby pani hrabina porzuciła swojego źgaca i posła ze mną.

W pirsy chwili zdawało się, że panią hrabinę cholera ze złości weźnie, ale jak chwilę pomyślała, tak powiada:

— Kiedy juz tak koniecnie ma być, to niechze będzie!...

I Bismark zakład wygrał.

I tak to juz jest na tem świecie, ze za pieniądze wszyćko kupi, ale nie mnie! Mnie Kaśka Myrdalonka jesce przed wojną obiecywała śtyry koruny, zebym się z nią ozenił, a ja się nie dałem wziąć na zeniackę, bo mi milsą była moja cnota, jak wszelkie ziemskie dostatki. La tego tez i teraz choć się dzieuchy koło mnie łasą i złote góry obiecują, to ja się nie dam, bo wartość chłopską cenię i wiem, ze jeden niezeniaty warta więcej u dzieuch, jak cały bataljon zeniatych.

La cego na ten przykład nasego jegomości tak wszyćkie dzieuchy lubią? La tego, ze nie zeniaci. Jak wyjdą jegomość w niedzielę na kazanicę, to wam tak wszyćkie i stare i młode głowy do góry podnosą i świata za jegomością nie widzą, choć tyle chłopów w kościele. A niechby się tak jegomość spróbowali ozenić, pytanie, cyby choć jedna za niemi patrzyła. Wtedyby jej lada Maciek był milejsy od poświącanej osoby. Lacego to za organistą tak dzieuchy nie patrzą, choć on od jegomości jesce wyzej w kościele siedzi i tak pięknie śpiwa, ze az syby w oknach wylatują. No, wiadomo, bo organista zeniaty i juz sześcioro dzieci se przychował.

Bez to i ja znam swoją kawalirską wartość i cenić ją potrafię i byle jakiej lafiryndzie zbałamucić się nie dam, a z hrabianką się nie ozenię, bo ich zamało na świecie i dla wszyćkich wystarcyć nie mogą. A choćby i wystarcyło, to coby mi po niej było? Cy to hrabianka takiemi malutkiemi rąckami potrafiłaby porządnie hadery wyprać, albo krowy wydoić? A do samego głaskania to mi baby nie potrza, bo głaskania se człek nie poi, ani nie napije. Zreśtą takiej hrabianki tobym się nawet bał w chałupie trzymać. Ani do tego nie sturknij, ani nie potrąć, boby się w ocymnieniu na cworo przełamało, takie ci to w sobie mikrne i nieprześpiecne. Taką hrabianką toby trzeba w jakiem słoiku trzymać i jesce watą okładać, aby się to nie rozsypało. Pozytku nie byłoby zadnego, a ino strapienie i obraza Boska.



Kraj rodzinny.

Błogosławione wy ojczyste niwy,
Zdobne w szumiące i bogate łany,
Na których człowiek tak żyje szczęśliwy,
W odgwar ich życia swojski zasłuchany.

Błogosławione wy chatyny miłe,
Które ojcowie z trudem budowali,
A gdzie się szczęśliw na ten świat zrodziłem,
I które kocham, jak oni kochali.

Błogosławione wy lasy szumiące
Głośnym powiewem szmaragdowych liści,
I wy potoki w dolinach płynące,
Strojne w nadbrzeżne olszynowe kiści.

Błogosławione, bo przypominacie
Moich praojców, co tu ongiś żyli
I pracowali w każdej takiej chacie
I pot swój krwawy na łany ronili.

Błogosławione, boście są świadkami
Ich wielkich trudów na tej polskiej glebie,
Boście widziały, jak swemi rękami
Tu pracowali o wodzie i chlebie,
Bo wspominacie te czasy minione:
Ciężkie i znojne, a przez nas wyśnione,
Błogosławione.

Adolf Fierla.

Podróż naokoło świata.

(Ciąg dalszy).

Pociąg kierował się od tej pory na północ. O godzinie dziesiątej wieczorem stanął na stacji Fort Brigder i wszedł w dwadzieścia minut potem na stację Wyoming, starożytną Dakota.

Nazajutrz zatrzymano się przez kwadrans na stacji Grin Riwer. Śnieg padał przez całą noc wraz z deszczem, nie przeszkodził więc biegowi pociągu.

W południe podróżni znajdowali się w forcie Halleck. Jeszcze kilka godzin i przejadą niebezpieczne urwiska i góry. Śnieg ustał, zaczął natomiast się przymrozek. Duże ptaki uciekały, przerażone biegiem lokomotywy. Była to pustynia w całem tego słowa znaczeniu.

Naraz dały się słyszeć głośne sygnały i raptem pociąg stanął. Fogg rzekł do służącego:

— Zobacz, co się stało?

Passepartout wyszedł z wagonu. Ze czterdziestu podróżnych opuściło już swoje miejsca. Pociąg zatrzymał się przed czerwonym sygnałem, zwiastującym niebezpieczeństwo.

Maszynista i konduktor rozmawiali żywo z dróżnikiem, którego wysłał zawiadowca następnej stacji.

Passepartout, zbliżywszy się do zebranych, posłyszał słowa dróżnika:

— Nie! niepodobna przejechać! Most rozwalony i nie mógłby utrzymać pociągu.

Był to most zwodzony, bardzo zniszczony i rzeczywiście grożący katastrofą. Passepartout z zaciśniętemi zębami słuchał tej wiadomości.

— A więc tak! — zawołał Francuz — mamy więc stać w śniegu!

— Panie, — odrzekł konduktor — telegrafowano do stacji Omaha o ratunek, ale dopiero za sześć godzin możemy się spodziewać pomocy.

— Sześć godzin! — wykrzyknął Passepartout.

— Zapewne — odpowiedział konduktor — przez ten czas możemy pieszo dojść do stacji.

— Pieszo! — zawołali podróżni.

— A jak daleko od nas jest stacja? — spytał któryś z podróżnych.

— Odległa jest o dwanaście mil — odpowiedział.

— Dwanaście mil po śniegu!

Passepartout pomimo woli zmuszony był uprzedzić swego pana o wypadku. Z głową spuszczoną skierował się do wagonu, tymczasem zaś konduktor zwrócił się do pasażerów i rzekł:

— Panowie, zdaje mi się, że znalazłem sposób wybrnięcia z kłopotu. Przejdziemy przez most...

— Po moście? — spytał się jeden z podróżnych.

— Po moście.

— Z pociągiem?

— Z pociągiem.

Passepartout zatrzymał się i pochłaniał słowa konduktora.

— Ależ most grozi zawaleniem! — wołano.

— Nic nie szkodzi, wierzę, że gdy puści się pociąg z całą szybkością, to ominiemy niebezpieczeństwo.

Znaczna część podróżnych zgodziła się na ten projekt.

Passepartout uważał jazdę tę za ryzykowną i opierał się temu.

Ale nikt go nie słuchał. Podróżni zajęli swoje miejsca w wagonie. Passepartout usiadł na swojem, nie mówiąc o niczem swemu panu.

Lokomotywa puściła się całym rozmachem, przechylając się, jak skoczek w tańcu, poczem, po drugim dzwonku rozległ się głośny gwizd i całą siłą pary puszczono się na rzekę. Zdawało się, że pociąg, pędząc po sto mil na godzinę, nie idzie, lecz płynie w powietrzu...

I rzeczywiście pociąg przeszedł most, ale zaledwie znalazł się na przeciwnej stronie, most padł w nurty rzeki rozwalony.

Tegoż wieczora pociąg przebywał swą drogę bez żadnego wypadku.

ROZDZIAŁ XXI.

Napad na pociąg.

O godzinie jedenastej gwizd lokomotywy oznajmił zbliżanie się do stacji Plum Creek, gdy naraz rozległy się dzikie wrzaski. Podróżni zrozumieli odrazu, że pociąg napadnięty został przez hordę Indjan. Zuchwali ci dzicy nieraz już zatrzymywali pociągi, grabiąc je i mordując opornych podróżnych. Wdrapywali się oni na stopnie wagonów, wchodzili do wnętrza i teroryzowali pasażerów, odbierając im wszystko, co posiadali. Uzbrojeni byli w strzelby, któremi walczyli z podróżnymi, posiadającymi częściowo rewolwery.

Najpierw jednak rzucili się do lokomotywy. Maszynista i palacz zostali ubezwładnieni uderzeniami w głowę i nie mogli zareagować na napaść. Dowódca Indjan, nie umiejąc zatrzymać lokomotywy, otworzył regulator, zamiast go zamknąć i lokomotywa puściła się z szalonym pędem w dal. Indjanie rzucili się do przedziałów. Jak małpy wdrapywali się do środka i walczyli z pasażerami.

Ci ostatni bili Indjan i stawiali opór napastnikom. Niektóre wagony zabarykadowały się, nie wpuszczając wrogów do wnętrza.

Od początku ataku pani Anda broniła się mężnie. Z rewolwerem w ręku odpierała napaści, strzelając do tych, którzy się do niej zbliżali. Ze dwudziestu Indjan leżało zabitych na drogach, a koła wagonów miażdżyły, jak robactwo tych, którzy czepiali się stopni. Kilku podróżnych, ugodzonych kulami albo siekierami, jęczało z bólu, leżąc na ławkach.

Trzeba było to jednak zakończyć. Bójka trwała już dziesięć minut i skończyłaby się klęską podróżnych, jeśliby nie zdołano zatrzymać pociągu.

O dwie mile już tylko oddalona była stacja Kerney, gdzie można było być bezpiecznym, ale jeśliby nie zdołano wstrzymać pociągu, podróżni byliby zgubieni.

Konduktor stał obok pana Fogga, gdy znienacka powaliła go kula.

Padając zawołał:

— Zgubieni jesteśmy, jeśli nie zatrzymamy za pięć minut pociągu.

— Zatrzyma się! — powiedział Filip Fogg i skierował się ku wyjściu.

— Proszę pozostać! — krzyknął Passepartout — ja to zrobię.

Pan Fogg nie miał czasu zatrzymać chłopca, który niespostrzeżenie otworzył drzwi wagonu i wślizgnął się po stopniach do lokomotywy. Nie zważał on na niebezpieczeństwo, na latające nad głową kule i wskoczył na lokomotywę, niezauważony przez nikogo z Indjan.

Tutaj, zawieszony jedną ręką przy towarowym wagonie, urwał łańcuch bezpieczeństwa, a nie mogąc dosięgnąć klapy zamykającej zwykle parnik, dokonał tego, że lokomotywa urwała się od pociągu i popędziła całą siłą pary na stację.

Pociąg urwany począł pozostawać w tyle, szedł jeszcze parę minut powoli, poczem o sto kroków od stacji Kerney przystanął.

Tutaj, żołnierze forteczni, przybyli na odgłos strzałów, pospieszyli na pomoc.

Indjanie nie dostrzegli ich i cała banda napastników została schwytana.

Ale kiedy podróżni rozejrzeli się po swych współtowarzyszach podróży, przekonali się, że brakowało kilku, a między innemi zniknął i odważny Francuz, którego poświęcenie uratowało wszystkich.

ROZDZIAŁ XXII.

Zniknięcie służącego.

Trzech podróżnych i Passepartout zginęli. Czy zostali zabici w walce? A może wzięto ich do niewoli?

Rannych było bardzo wielu, ale na szczęście ani jeden nie był ranny beznadziejnie. Pani Anda wyszła cało z tej awantury. Filip Fogg również. Fix raniony był w ramię... Ale brakowało dobrego Passepartout.

Wszyscy podróżni wyszli z wagonów. Koła wagonów były oblane krwią. Strzępy ciał wisiały uczepione do pociągu.

— Muszę go znaleźć żywym czy martwym — rzekł Fogg do pani Andy.

— Ach panie... panie Fogg! — wykrzyknęła młoda kobieta, ściskając rękę swego towarzysza i zalewając się łzami.

— Możemy go znaleźć żywym, jeśli zaraz, w tej chwili udamy się na jego ratunek!

Postanawiając to, Fogg poświęcał się całkowicie. Jeden dzień opóźnienia, a przegra zakład. Ale ponad wszystko cenił on swój obowiązek.

— Panie — rzekł Fogg, podchodząc do kapitana fortu Kerney — brak nam trzech podróżnych.

— Czy zabici? — zapytał kapitan.

— Zabici, lub wzięci do niewoli. Wskutek tej niepewności musimy ścigać Indjan.

— Tak, to prawda — rzekł kapitan. — Indjanie mogą uciec aż do Arkanzas. Ale ja nie mogę opuszczać fortu.

— Panie — odpowiedział Fogg, — idzie tu o życie trzech ludzi.

— Bezwątpienia... ale czyż mogę narażać życie pięćdziesięciu, by wyratować trzech ludzi?

— Nie wiem, czy pan może, ale wiem, że jest to pana obowiązek.

— Panie, — odrzekł kapitan, — nikt tu nie ma prawa pouczać mnie o mych obowiązkach.

— Niech i tak będzie — odpowiedział chłodno Fogg. — Idę sam!

— A więc nie! — zawołał kapitan. — Nie! Masz pan szlachetne serce!... Trzydziestu ludzi pójdzie z panem! Kto na ochotnika? — dodał, zwracając się do żołnierzy.

Setka chyba conajmniej podeszła do kapitana. Ten wyłączył trzydziestu z sierżantem na czele.

— Dziękuję ci, kapitanie — rzekł Fogg spokojnie.

W kilka minut potem pan Fogg uścisnął na pożegnanie rękę młodej kobiety, oddał jej swą kosztowną walizkę, poczem odszedł z gromadką żołnierzy i sierżantem.

Ale przed wyruszeniem na wyprawę, rzekł do żołnierzy:

— Moi przyjaciele, tysiąc funtów dla was, jeśli wyswobodzimy więźniów!

Była to godzina dwunasta w południe. Pani Anda weszła do pokoiku na stacji i tam rozmyślała nad tem, jak szlachetnym był pan Fogg, jak nie zawahał się poświęcić całej swej fortuny, aby uratować Passepartout. W oczach jej urastał on na bohatera.

Czas mijał szybko. Dopiero o godzinie drugiej po południu rozległo się gwizdanie i ukazał się cień jakiś z blaskiem w środku.

Ujrzeli wszyscy lokomotywę, tę samą, którą Passepartout odczepił od wagonów. Pędziła ona całą siłą pary, unosząc na sobie zemdlonych: palacza i maszynistę.

Przebiegłszy dwadzieścia mil poza stację, zatrzymała się nagle.

Znajdujący się na lokomotywie wrócili do przytomności i zapomocą drzewa i gałęzi zebranych na drodze, rozpalili ogień pod kotłem i puścili się ku stacji Kerney. Gdy lokomotywa z pośpiechem zajechała przed stację, ucieszono się bardzo, że pociąg będzie mógł wyruszyć.

Pani Anda podeszła do konduktora.

— Czy pan zamierza jechać?

— Za minutę!

— A ci więźniowie... nasi współtowarzysze?

— Nie mogę czekać na nich — odpowiedział konduktor — i tak opóźniliśmy się o trzy godziny.

— Kiedy odejdzie drugi pociąg?

— Jutro wieczorem.

— Jutro wieczorem? To niemożliwe! Niech pan zaczeka...

— To niepodobna — odpowiedział konduktor — jeżeli pani chce jechać, proszę już wsiadać.

— Nie pojadę — odrzekła młoda kobieta.

Fix słyszał tę rozmowę i postanowił też czekać.

Tymczasem pasażerowie i kilku rannych, między nimi Amerykanin, którego stan był ciężki, zostali poumieszczani w wagonach.

Maszynista gwizdnął, buchnęła para z lokomotywy i odjechano, pozostawiając poza sobą kłęby dymu i pary.

Upłynęło kilka godzin. Pogoda była straszliwa, zimno przenikało do głębi. Zapadła noc. Śnieg sypał, mróz wzrastał. Najbystrzejsze oko niezdolne było dostrzec niczego w nieprzejrzanej ciemności. Pani Anda tej nocy nie zmrużyła oka ani na chwilę. Trudno byłoby opowiedzieć lub opisać cierpienia tej nocy. Kapitan, pełen niepokoju, namyślał się, czyby nie wysłać nowej partji ludzi na pomoc.

Wreszcie skinął ręką na jednego ze swych poruczników. Zaledwie przemówił do niego, dały się słyszeć wystrzały.

Czyżby to był sygnał? Żołnierze wybiegli z fortecy i o pół mili od stacji spostrzegli mały oddziałek, kroczący w doskonałym porządku.

Na czele szedł pan Fogg, obok niego Passepartout i dwóch podróżnych, wydartych z rąk Indjan.

O dziesięć mil od stacji odbyła się walka. Przed przybyciem pomocy, Passepartout i dwaj pasażerowie bili się z pilnującymi ich Indjanami i powalili ich siłą pięści na ziemię.

Właśnie w tej chwili nadszedł oddział na ratunek.

Rozległ się okrzyk radości ze stron obu. Pan Fogg rozdzielił obiecane tysiąc funtów między żołnierzy, a Passepartout powtarzał wciąż bez przerwy:

— Stanowczo, zadużo kosztuję swego pana.

ROZDZIAŁ XXIII.

Opóźnienie pana Fogga.

Pan Fogg opóźnił się o dwadzieścia godzin.

Passepartout który był przyczyną tego, rozpaczał. Zrujnował on swego pana!

W tej chwili podszedł Fix do pana Fogga i patrząc mu wprost w oczy, rzekł:

— Czy rzeczywiście opóźnienie jest duże?

— Dwadzieścia godzin.

— A jeśliby nie zaszła ta awantura z Indjanami?

— Miałbym dwanaście godzin do rozporządzenia.

— A więc opóźnienie równa się tylko ośmiu godzinom?

— Tak jest!

— Wiem, że panu idzie o to, żeby być na czas, otóż możnaby zaraz pojechać saniami.

— W jaki sposób?

— Jeden człowiek proponował mi to już w nocy.

Pan Fogg zastanowił się nad tą propozycją, poczem podszedł sam do owego człowieka. Pokazano mu wspaniałe sanie łyżwowe, które pędzą po lodzie z niezwykłą szybkością.

W kilka minut umowa była zawarta. O godzinie ósmej sanie były gotowe do drogi. Podróżni usadowili się w nich, otuleni w ciepłe derki. W kilka godzin po wyjeździe ze stacji Kerney byli oni już na stacji Omaha, do której dążyli, aby przesiąść do wagonu.

Passepartout wyskoczył pierwszy, strząsnął się z zimna i pomógł wysiąść pani Andzie i swemu panu.

Trafili właśnie na potrzebny pociąg. Wsiedli tam natychmiast i jechali bardzo szybko, na drugi dzień przybyli do Chicago, poczem wyruszyli do Nowego Yorku, oddalonego o dziewięćset mil od tego miasta. Przebyto Indjanę, Ohio, Pensylwanję, Nowy Jersey, potem ukazał się Hudson, a jedenastego grudnia o jedenastej godzinie pociąg zatrzymał się na stacji.

Stąd mieli przesiąść się na parowiec „China“, ale ten odszedł niedawno i dopiero nazajutrz można było odpłynąć.

Passepartout łamał ręce z rozpaczy, czując się odpowiedzialnym za te ciągłe opóźnienia i zawody! Ale pan Fogg nie przejmował się niczem, powiedział tylko:

— Popłyniemy jutro. Chodźmy.

Pan Fogg, pani Anda, Fix i Passepartout pojechali powozem do hotelu Świętego Mikołaja w Broadway.

Rankiem pan Fogg wyszedł z hotelu, poleciwszy Passepartout opiekę nad panią Andą.

Zamówił też wkrótce odpowiedni parowiec, który miał za chwilę odjechać.

Wziąwszy łódź, podpłynął do „Henryki“ — tak zwał się ów statek — i spytał:

— Czy pan jest kapitanem?

— Tak.

— Jestem Filip Fogg z Londynu.

— A ja Andrzej Spidy z Kardifu.

— Czy pan wyjeżdża?

— Za godzinę.

— Czy ma pan towary?

— Tak.

— A pasażerowie czy są także?

— Żadnych pasażerów nie mam. Nigdy nie wożę. Same towary.

— Czy statek pana idzie szybko?

— Doskonale.

— Czy nie zechce pan przewieść na swym statku mnie i trzech jeszcze podróżnych do Liverpoolu?

— Do Liverpoolu? Dlaczego nie do Chin?

— Powiedziałem do Liverpoolu.

— Nie!

— Nie?

— Nie! Jadę do Bordeaux.

— Bez względu na zapłatę?

— Tak.

Kapitan powiedział to stanowczym tonem.

— A więc zawieź nas pan do Bordeaux.

— Nie, nawet gdyby mi pan zapłacił po dwieście dolarów od osoby!

— Ofiaruję panu dwa tysiące!

— Za osobę?

— Tak.

— A ile jest osób?

— Cztery.

Kapitan zaczął się zastanawiać. Pasażer za dwa tysiące dolarów, toć już nie pasażer, ale kosztowny towar.

— Wyjeżdżam o godzinie dziewiątej — odpowiedział po namyśle kapitan, — czy osoby te są już tutaj?

— O godzinie dziewiątej będziemy na brzegu — odpowiedział spokojnie Fogg.

Było wtedy wpół do dziesiątej. Niezwłocznie wsiadł do powozu, pojechał do hotelu, zabrał wszystkich i przywiózł do portu.

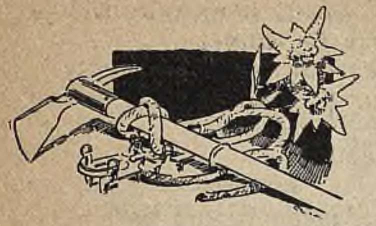
Jak tylko przypłynęła „Henryka“, wszyscy byli już na brzegu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak nie kochać.

Jak nie kochać tych pól naszych
spowitych w śnieg biały,
Na których się tak niedawno
łany kołysały?
Jak nie kochać tej wsi polskiej,
tych chat niskich ciasnych,
Jak nie kochać tych łąk, kwiatów,
tych potoków jasnych?
Jak nie kochać tych kościołów,
(W nich tyle śliczności),
Jak nie kochać tej mogiły,
tych pradziadów kości?
Jak nie kochać tych zórz jasnych,
pięknych dzwonów grania,
Kiedy samo serce biedne
rwie się do kochania!
Jak nie kochać wiatru szumu,
pięknych lasów gwaru,
Gdy w tem wszystkiem tyle piękna
i tyle jest czaru!
Jak nie kochać pieśni dawnych,
o których się słyszy,
Ludzi sławnych, czasów dawnych,
w tej bezgłośnej ciszy.
Jak nie kochać każdej chwili
naszej polskiej ziemi,
Jak nie kochać, gdy nas karmi
zawsze dary swemi?
Jak nie kochać chórów ptasząt,
co krzepią w niedoli,
Jak nie kochać tej gazetki,
tej kochanej „Roli“?
Ja Was kocham, bom z tej ziemi
miłość w serce wlała,
Więc już zawsze do skonania
będę Was kochała!

Maryśka z Kamionki.



Bajka Szymonki.

Było ciche, letnie popołudnie. Jasne blaski rozsłały się po łąkach, rozjaśniły wichry i turnie strzeliste, zwolnione w pogodnym dniu z mglistych osłon.

Przeogromna cisza objęła przyrodę, zda się, posnęły wyniosłe Tatr szczyty w tej ciszy gorącego letniego dnia.

Drogą, pnącą się w górę ku zagrodzie gazdy Gozdawy, wspinała się wolno podeszła w wieku staruszka. Snać po prośbie chodziła, bo dźwigała torby żebracze. Pot gęsto osiadł na pomarszczonej twarzy, pełnej zmęczenia.

Szła wolno, ciężko oddychając. Od czasu do czasu przystawała, aby odpocząć, wtenczas rozglądała się wokoło z rozradowaniem w siwych czystych oczach. Znalazłszy się na większej wysokości, przystanęła, a złożywszy torby na ziemi, przykucnęła obok nich, chciwie rozglądając się po górzystej okolicy.

— Żeś mi też Jezusicku dał docekać, że i w tym roku oglądam góry moje rodzime... — szeptała, a łza jedna i druga zbiegła po zoranej zmarszczkami twarzy.

Odpocząwszy tak chwilę, poczęła piąć się dalej. Niedługo znalazła się na podwórku gazdy Gozdawy, gdzie młoda, ładna góralka rozwieszała po płocie uprane chusty. Zobaczywszy staruszkę, powitała ją życzliwie.

— Witajcies Szymonko! Znowuście przywandrowali do nas!

— A tak. Jezusicek dał docekać...

— Pójdźcies do chaty, spocniecie trocha.

— Ej gołąbko, wolałabych ja tu, na podwórecku, na góry se stąd spoziram, hej! na góry nase...

Pozostała sobie starowina na podwórku, spożywając wyniesiony przez góralkę placek owsiany.

Słońce poczęło zwolna skłaniać się do snu. Pogodny był zachód a kula słoneczna czerwona jak krew. Trysnęły potoki krwawej czerwieni na hale zielone na zadumane góry i srebrne, wartkie strumienie.

Aż i zaszło słońce i znikł nagle wspaniały, przepiękny widok.

— Wiatry bendą — rzekła do siebie Szymonka, wpatrzona w ten przecudowny zachód stęsknionymi oczyma.

Na podwórku zjawił się z skrzypkami pod pachą wysoki, śmigły góral. Zgrabny był a prosty jak ten smrek.

Wesoło bywało w zagrodzie Gozdawy. Hanka urodna była i posażna, to też miała zalotników moc.

I w dzisiejszy pogodny wieczór poschodziła się młodzież, śmiejąc się i swawoląc.

Rozsiedli się na podwórku koło Szymonki, prosząc staruszkę o jakie opowiadanie, bo słynęła z tego.

Nie dała się długo prosić. Utkwiła wzrok w ciemnych zarysach gór i poczęła opowiadać.

— Beł raz wielgi zbójnik, Jamir się zwał, a siedział se na wirchu najśmiglejsej góry. Skarby miał okrutne, pełno złota w piwnicy i wszelakiego innego bogactwa a wszyściutecko z rabunku.

Balić się go wszyscy okrutecnie, bo srogi beł, a juz jego towarzysze zbójnickie to tak przed nim dygotały jak te listki na wietrze.

Beło ci tam przepaścisko okropne!

Bywało, złapie Jamir podróżnego, wywlece na swoje górzysko, obrabuje i... ciśnie w te przepaść...

Wyzirały tyz stamtąd kościska ludzkie...

Raz mu przywlekli zbójnicy siwiuśkiego jak gołąbek pana i młodą jego córę, wielgiej urody pannę.

Pozabirał im Jamir złoto, siwiuśkiego pana w przepaścisko cisnon, choć prosiła za oćcem urodna panna na kolanach.

Spodobała się Jamirowi, oj spodobała pannica. Darował jej zycie, zamknon w jaskini, gdzie jeno małe beło okienecko, kandy na kawałek nieba spoźreć mogła.

Darmo wiecnie płakała i prosiła nieboga, zeby jom wypuścił albo zabił.

Upodobał se jom Jamir okrutnie.

Kciał, zeby mu kochanicą była, aleć daremno groził i prosił.

Rzek jej raz, ze jom ze skały ciśnie w tę strasecną przepaść, nie bała się. A jak jej rzek, ze z tego miłowania sam się zabije, to ino się roześmiała.

Opuścił Jamir zbójnickie wyprawy a wszyćko z tej tęsknicy i z tego kochania. Pozirał jeno ku niej a wzdychał.

Jus zbójnikom sprzyksyło się darmowanie. Nabrali w cichości Jamirowego złota i uciekli het od niego i beł sam.

Wychud na patyk, ale ślicna panna i tak pozirać na niego nie kciała.

— Na twoich renkach krew — rzece mu raz, gdy klencał przed niom, żebrzący łaski.

Wtedy Jamir wzion kradzione złoto i posed na doliny między ubogi lud.

Nie beło go długo.

Przysed przecie, ale okrutecnie pokalecony, bo tez tam na dole pobili się ludziska miendzy sobą o to jego złoto a i jego zabić kcieli, ale uciek.

Panna miała miękie serdecko, tak i pocena go lecyć, poić ziołami, az ozdrowiał. A jak juz beł zdrów, tak po dawnemu pozirać na niego nie kciała.

A Jamir chodził okrutecnie smutny.

Aze pewnego razu klenknon jej do nóg i mówi:

— Rzeknij mi, co mam robić?

Ona spojźrała jeno ku przepaści, kandy jej ociec został rzucon a łezki jak te śrybne perełki leciały po jej licku.

Zrozumiał Jamir.

Zacon znosić kamienie i ziemię, co ino mógł udrzyć z twardych skalisków i wszyćko to wrzucał do te przepaście.

Od świtu do nocy i tak co dnia, wrzucał i wrzucał kamienie i ziemię, aby przykryć te kości bieluśkie...

A pracował tak okrutnie, aze mu krew z ronk ciekła.

W krwawym pocie pracował tak długo, aż nakrył tę przepaść całkiem, a góra z górą się zeszła.

Słońce zachodziło wtedy pięknie, gdy okrutnie utrudzon siad se na skale a modlił się i bił nabożnie w piersi.

Aż i wreszcie rozmiłowała się w nim panna. Aleć, jako ze ślacheckiego stanu była a i on zbójnikiem beł, tak rzec mu o tem nie kciała.

I beło tak.

Posed Jamir sukać sarotek dla panny.

Kciał nazbirać tych gwiazdecek górskich, bo panna zawszeć sie rozśmiała, jak je ino przyniósł.

A poszli se razem, bo widzioł Jamir, ze nie płakała już jak dawni ino rozśmiała się casem i spoźrała mili.

I sukał Jamir tych gwiazdek az doźrał je jak rosły se pieknie, aleć w takiem miejscu ze nijak dojść do nich nie beło mozna.

Ale Jamir się uwzion, bo kciał pannie dogodzić.

— Nie chodź Jamir, bo spadnies — rzece panna.

A Jamir posed.

Jak się nie przechyli, jak nie zatrzepoto ronckami!...

I spod...

Smutne zaceno się zycie młodej pannicy. Nie posła se juz na doliny miendzy swój lud, jeno sukała go po górach a płakała tak smutnie aze sie serdecko krajało.

Ponoć, jak miesioncek świeci se pieknie, widnją zabłąkani w górach ludziska jej dusyckę.

Chodzi se cała bieluśka niby aniołek świenty.

A dawno to juz temu, oj dawno... ze dwieście lat bendzie...

Umilkła stara Szymonka.

Nikt ciszy nie spłoszył ni słówkiem.

Jasna, księżycowa noc, pełna uroku i ciszy oczarowała nawet przywykłych do niej górali.

Milczeli wszyscy, wpatrzeni w osrebrzone góry, jakgdyby ujrzeć tam mieli białego ducha porwanej panny.

E. Niemczyńska.

Poradnik gospodarczy.

Słyszymy dziś wokoło narzekania na ciężkie czasy: narzeka urzędnik, robotnik, wieśniak, narzekają wszyscy. Każdy twierdzi, iż w Polsce jemu najgorzej, ale biedzie tej sami jesteśmy winni: umiemy tylk onarzekać, już nawet widzimy opłakany stan naszych stosunków gospodarskich, ale jeszcze nie chcemy się poprawić, gdyż błędy ojców naszych tak się w nas rozpanoszyły, że o poprawie ani sobie powiedzieć nie damy. A wytknąć błąd komuś, to znaczy zdobyć sobie zaciętego wroga. Są i tacy, co przekonani, iż zrobili jakiś błąd w gospodarstwie, przytakną, a w następnym roku robią to samo.

Ziemi w Polsce mamy tyle, że mogłoby się na niej wyżywić nie trzydzieści, ale pięćdziesiąt miljonów mieszkańców, gdyby uprawiana była racjonalnie. Czekamy zawsze na cudzą pomoc, zamiast pracować i jeszcze raz pracować. Ratunek leży w nas samych: jeżeli rolnicy, gospodarze wiejscy wezmą się razem do racjonalnej gospodarki, to dadzą napewno biedzie radę„ trzeba jednak ciągle iść naprzód z postępem, śledzić bacznie ulepszenia w uprawie roli, zwiększać przez odpowiednią gospodarkę wydajność naszych pól, łąk i pastwisk, nieużytki zmienić na urodzajne grunta, polepszyć inwentarz, wprowadzić ulepszone narzędzia gospodarcze do obróbki ziemi. Powinno się umieć gromadzić dobry nawóz i przechowywać go w dobrze i wzorowo urządzonych gnojarniach. Oto są najpilniejsze czekające nas zadania, którym poświęcać będziemy osobne uwagi w naszej „Roli“.

* * *

Aby przyczynić się do podniesienia tak ważnego działu w gospodarstwie, jakiem jest pszczelnictwo, będziemy i ten dział w „Roli“ uwzględniali. Celem artykułów będzie pouczenie włościan - bartników i przypomnienie, co, jak i kiedy należy robić w pasiece, aby mieć dochód i przyjemność. Wszelkie wiadomości podawać będziemy w jak najbardziej dostępny sposób, aby z artykułów mógł korzystać każdy: ten, co już coś umie i ten, co pierwsze na tem polu stawia kroki.

Wszystkie artykuły będą pisane w formie rad, co należy robić w tym lub owym miesiącu w poszczególnych gałęziach gospodarstwa.

* * *

Pora zimowa dla gospodarza, to pora przeglądnięcia wszystkich narzędzi gospodarskich, naprawienia ich i sporządzenia nowych, aby mieć wszystko przygotowane, gdy będzie potrzebne.

Z postępem rolnictwa umysł ludzki wynajduje i ulepsza przeróżne narzędzia do uprawy roli używane. Podstawowem takiem narzędziem jest pług. Pług przechodził różne koleje i prawdopodobnie początek dał mu konar drzewny z kawałkiem odciętej gałęzi. Z biegiem lat i postępu doznaje pług różnych ulepszeń i zmian, a i dziś jeszcze dążą ludzie do udoskonaleń tego tak ważnego narzędzia. Powinien pług być lekki, ale mocny, tani i jaknajprostszej budowy, aby się łatwo poddawał woli człowieka. Musi być tak urządzony, by raz orał płytko, drugi raz głęboko, aby kładł skiby równo, dobrze je odkładał i układał i aby ziemię dobrze spulchniał. U nas w kraju mamy fabryki, które wyrabiają pługi różnych systemów, służące do przewracania roli, przykrywania ziemią narostów i nawozu, celem należytego rozłożenia.

Po wsiach dochowały się stare pługi, zwane sochami wyrobu miejscowego, których niema w składach narzędzi rolniczych. Są to pługi, których konstrukcja częściowo wykonana z drzewa z okutym lemieszem i żelazną dokładnicą. Cały ten pług wykonują miejscowi kowale i kołodzieje, a nie znajdziemy go w krajach o wyższej kulturze rolniczej. U nas można by go używać tylko w okolicach o ziemi piaszczystej.

Socha zostaje u nas coraz silniej wypierana przez pługi wykonane fabrycznie konstrukcji żelaznej, nawet niewiele droższe od miejscowych. Wprowadzenie jednak pługów patentowych, to rzecz przyszłości, choć tu i ówdzie pojawiają się one w dobrze prowadzonych gospodarstwach.

Wszystkie te pługi wymagają silniejszego sprzężaju i bywają używane w gospodarstwach większych (dworskich). Nasz rolnik lubi najbardziej używać pługa, sporządzonego na wzór dawnej sochy, o drewnianym grządzielu i rękojeściach.

Orka zależy od kształtu i dobroci odkładnicy i lemiesza. Nasi kowale często sporządzają bardzo dobre pługi, które nie ustępują w niczem pługom wyrabianym fabrycznie.

Potrawy z królików.

I. Królika zaraz po zabiciu obciągnąć ze skóry, wyjąć wnętrzności, pozostałe mięso wypłukać, wytrzeć w czyste płótno, posolić i zostawić na parę godzin, by skruszało. Następnie pokrajać na małe kawałki, upiec na maśle, a gdy już miękkie, zalać kwaterką kwaśnej śmietany z dwoma łyżkami mąki.

Wiadomości polityczne.

Życzenia noworoczne w Warszawie. Dnia 1 bm. o w pół do 11 rano członkowie rządu z marszałkiem Piłsudskim na czele przybyli na Zamek, aby złożyć Prezydentowi Mościckiemu życzenia noworoczne. Po mszy św. w kaplicy zamkowej pierwszy złożył życzenia ambasador Francji p. Laroche. Na przemówienie to odpowiedział Pan Prezydent Mościcki, poczem przywitał się ze wszystkimi dyplomatami państw zagranicznych, poczem udał się do dalszych sal zamkowych, gdzie były zgromadzone delegacje duchowieństwa, przedstawiciele sejmu i senatu, wyższych uczelni, wiceministrowie, generalicja, wyżsi urzędnicy państwowi i t. d., którzy składali głowie państwa życzenia w imieniu własnem i w imieniu urzędów sobie podległych.

Orędzie ks. Prymasa. W dniu św. Sylwestra ks. Prymas Hlond przyjął delegację społeczeństwa wielkopolskiego, składającą mu życzenia noworoczne. Odpowiadając, ks. Prymas zaznaczył, że w roku 1927 czekają nas wielkie zadania na polu kościelnem dokonania się wewnętrznej koncentracji sił katolickich, równocześnie pogłębienia się życia wiary na zasadzie zdrowej i nieustraszonej religijności. Zwrot ku kościołowi, zaznaczający się szczególnie w sferach inteligencji, sprawił, że bezwyznaniowość i liberalizm religijny przestaje już być modą. W dalszym ciągu w roku nowym toczyć się będą boje o zdrowie moralne narodu. W życiu publicznem należy przejść od rozpolitykowania do twórczej polityki, od rozkładu na pierwiastki do żywych związków organicznych. Czas zapomnieć o tem, co naród dzieli, a pomyśleć o tem, co nas powinno prowadzić do wielkich celów państwowych.

Odmładzanie armji. W ministerstwie spraw wojskowych przygotowują listę generałów i wyższych oficerów, którzy mają przejść w stan spoczynku. Na emeryturę ma też pójść na własną prośbę gen. Żeligowski.

Przesilenie w Niemczech, zapoczątkowane ustąpieniem gabinetu Dra Marksa, trwa w dalszym ciągu. Wszelkie usiłowania niemiecko-narodowych co do utworzenia bloku prawicowego nie doprowadziły do celu. Za jedynie możliwe należy uważać wobec tego rozszerzenie podstaw gabinetu na lewo, czyli utworzenie wielkiej koalicji, złożonej z socjalistów, demokratów, centrum i niemieckiej partji ludowej. Na czele takiej koalicji stanąłby Stergerwald, członek centrum. Gdyby takiej koalicji nie dało się utworzyć, wówczas nastąpiłoby rozwiązanie parlamentu niemieckiego i zostałyby rozpisane nowe wybory.

Traktat niemiecko-włoski. W dniu 29 grudnia 1926 r. został podpisany w Rzymie traktat niemiecko-włoski, obejmujący 16 punktów. Traktatem tym obydwie strony zobowiązują się do skierowywania na drogę postępowania pojednawczego wszystkich kwestyj spornych, któreby mogły powstać między niemi, a którychby nie można było zlikwidować na zwykłej drodze dyplomatycznej. W tym celu została ustanowiona stała komisja pojednawcza. Jeżeli postępowanie pojednawcze nie da żadnego wyniku, może kwestja sporna zostać przedłożona sędziom rozjemczym, lub też haskiemu trybunałowi rozjemczemu. Odnośne postępowanie układ szczegółowo reguluje. Układ obowiązuje w ciągu 10 lat. Napozór traktat ten wydaje się zupełnie niewinny, a jednak w rzeczywistości jest on skierowany przeciwko Francji, gdyż Niemcy chcą mieć na wszelki wypadek Włochy po swojej stronie.

KRONIKA.

Gwiazdka dla dzieci na wsi. Z Soniny w powiecie łańcuckim piszą nam: Tutejsza szkoła, której kierownikiem jest obecnie p. Jan Inglot, dała nam już kilka dowodów pracy grona nauczycielskiego nad młodzieżą szkolną i pozaszkolną, urządzając różne przedstawienia, odczyty, jasełka i t. d., a ostatnio urządziła to, czegośmy jeszcze nigdy nie widzieli — gwiazdkę dla naszych dzieci. W sali domu ludowego zebrały się wszystkie dzieci szkolne i nieszkolne i rodzice w liczbie około 500 osób — sala więc była przepełniona aż ściany trzeszczały. Po pięknem przedstawieniu, na które złożyło się 5 komedyjek, odegranem bardzo udatnie przez dzieci szkolne, wystąpił na scenie św. Mikołaj w otoczeniu aniołów z darami. Dwieście pakunków — dużo ciast i orzechów, 60 kg. jabłek otrzymała dziatwa. Co było uciechy, ile wesołych okrzyków i wzdychań, gdy to dzieci zobaczyły, a św. Mikołaj zaczął wywoływać i podarki rozdawać. Takiej gwiazdki jeszcze dzieci nasze nigdy nie miały, a wszystkie, nawet najbiedniejsze, coś dostały, jak nie pakunek, to bodaj jabłko i dlatego codzień wspominają dzieci św. Mikołaja i aniołków, a małe ciągle pytają się, kiedy św. Mikołaj jeszcze przyjedzie? Podziękowanie i wdzięczność za to należy się wszystkim paniom nauczycielkom (najwięcej św. Mikołajowi) i p. kierownikowi. *Obecni rodzice dzieci.*

Teściowa wśród wilków. W województwie lubelskiem rozeszły się pogłoski, że w lasach tamtejszych znajdują się wilki. Postanowił z tego skorzystać gospodarz Wójcik z Wilkołaza w powiecie janowskim, który, wyzyskawszy nieobecność mieszkańców domu, związał swą teściową, z którą żył w ustawicznej niezgodzie, wsadził jej knebel do ust, zapakował do worka i zaniósł do pobliskiego lasu wilkom na pożarcie. W lesie zrzucił worek na ziemię i wrócił do domu. Po kilku jednak godzinach teściowa powróciła głodna i przezięblona. Na razie dał jej Wójcik spokój. Kiedy następnego dnia teściowa znów zaczęła hałasować, Wójcik przeczekał cierpliwie do wieczora, wsadził znów teściową do wora i zawiózł ją do lasu, ale tym razem już o 10 kilometrów dalej, w nieznaną okolicę. Teraz miał spokój przez 2 dni, poczem... teściowa wróciła do domu. Wójcik poraz trzeci zastosował swą metodę uspokajania teściowej. Tym razem teściową jego znaleziono w worku w pobliżu Lublina i to w takim stanie, że dopiero po nakarmieniu jej i ogrzaniu mogła opowiedzieć swe niezwykle przygody. Wójcik nie pozbył się teściowej, bo albo wilków w lesie nie było, albo nawet wilki bały się zbliżyć do niej.

Testament na nodze. Wśród niesłychanie wielkiej liczby samobójstw, popełnianych w ostatnich czasach, wybijają się niektóre swoją desperacką pomysłowością. I tak 20-letnia Ruchla Wajnstein z Otwocka, kochała się od kilku lat w poecie żydowskim, a nie mogąc uzyskać jego wzajemności, przyjechała do Warszawy i skoczyła z 3 piętra na bruk, ponosząc śmierć na miejscu. Przy oględzinach trupa znaleziono pod pończochą na lewej nodze testament wypisany tuszem chińskim, wprost na skórze. Z testamentu wynika, że samobójczyni popełniła akt rozpaczy z powodu zawiedzionej miłości i prosi, żeby zwłoki jej nie chowano według rytuału żydowskiego, lecz żeby oddano do zakładu medycyny.

Dochody z monopolu tytoniowego. Z Warszawy donoszą: Wobec nieścisłych informacyj prasy stołecznej o dochodach skarbu państwa z eksploatacji monopolu tytoniowego w roku 1926, ministerstwo skarbu

komunikuje, że w miesiącu grudniu z. r. polski monopol tytoniowy wpłacił do kas państwa 28 i pół miljona złotych, t. j. największą sumę, jaką kiedykolwiek polski monopol tytoniowy wpłacił do kasy państwowej. W 1926 r. wpłacił 270 milj. złotych, a na spłatę pożyczki włoskiej około 20 milj. złotych, czyli w stosunku do preliminowanej na rok 1926 kwoty o 70 milj. złotych więcej, a w stosunku do dochodów za rok 1925 więcej o około 87 milj. złotych. Jest to więc najzwyklejsze puszczanie pieniędzy z dymem.

Śmierć dwóch chłopców w płomieniach choinki. We Lwowie wydarzył się w czasie świąt Bożego Narodzenia tragiczny wypadek, który pociągnął za sobą śmierć dwóch chłopców. W domu przy zbiegu ul Królowej Jadwigi i Gródeckiej zajmuje mieszkanie na parterze dozorca Żarnowski z żoną i dwojgiem dzieci. Pewnego dnia rano Żarnowscy udali się z wizytą do znajomych. W mieszkaniu zostały same dzieci, bawiące ię przy choince: 4-letni Józio i 2-letni Stasio. Rodzice wychodząc, zamknęli mieszkanie na klucz. Rozbawione dzieciaki, postanowiły zapalić choinkę. Starszy chłopiec otworzył drzwiczki od pieca kuchennego i zapaliwszy kawałek papieru od żarzącego się węgla, zbliżył się następnie do choinki. Gdy oświetlił już parę świeczek, cgoinka przewróciła się nagle. W jednej chwili cała choinka stanęła w ogniu, a od płomieni zajęły się na chłopcach ubrania. Wkrótce płomienie objęły całe mieszkanie. Na widok dymu i ognia, wydobywającego się z mieszkania dozorcy, lokatorzy rzucili się na ratunek. Jeden z lokatorów wybił szybę w oknie i rzucił się przez okno na ratunek dzieciom. Dzielny ten człowiek z kłębów dymu wydobył najpierw jedno dziecko, następnie wskoczył po raz drugi w ogień i wydobył drugie dziecko. Niestety, dzieci dawały już tylko słabe oznaki życia. Ciała ich były napół zwęglone.



Pogotowie ratunkowe odwiozło je do szpitala, gdzie w kilka godzin w strasznych męczarniach zakończyły życie.

Długowieczność. W Sokołowie, obok Stryja, mieszka niejaki Samuel Hersz Rotbaum. Liczy on 105 lat, jednakowoż nikt by nie przypuszczał, że ma przed sobą przeszło 100-letniego starca. Pracuje on na gospodarstwie, jak 50-letni człowiek, porą letnią chodzi czasem do Stryja (oddalenie 20 klm.), umysł jego zupełnie normalny.

Z dziwów życia. Niezwykły wypadek ożenienia się niedoszłego mordercy ze swoją ofiarą, zaszedł w tych dniach w Nancy. 24 lipca sąd tamtejszy skazał na sześcioletnie więzienie i 10-letni zakaz pobytu mechanika nazwiskiem Henry Drouin, który usiłował najpierw otruć, a następnie zastrzelić z rewolweru swoją narzeczoną, pannę Laurę Resbeut, za to, że nie chciała wyjść za niego za mąż. W chwili, gdy odwożono tego skazańca z sądu do więzienia, zadał on sobie ciężką ranę ostrym pilnikiem w okolicę serca tak, iż przez dłuższy czas życie jego wisiało na włosku. W tych dniach miano go przewieźć do innego więzienia, ale przed wyjazdem Drouin oświadczył, że chce się ożenić. Minister sprawiedliwości zezwolił na to. Drouin eskortowany przez dwóch urzędników policji, poszedł do urzędu stanu cywilnego w Nancy, gdzie połączył się węzłem małżeńskim ze swoją... ofiarą, panną Resbeut. — Jednym ze świadków przy tym ślubie była chlebodawczyni skazańca, którą tenże postrzelił z rewolweru w chwili, gdy rozprawiał się zbrojnie ze swoją obecną małżonką.

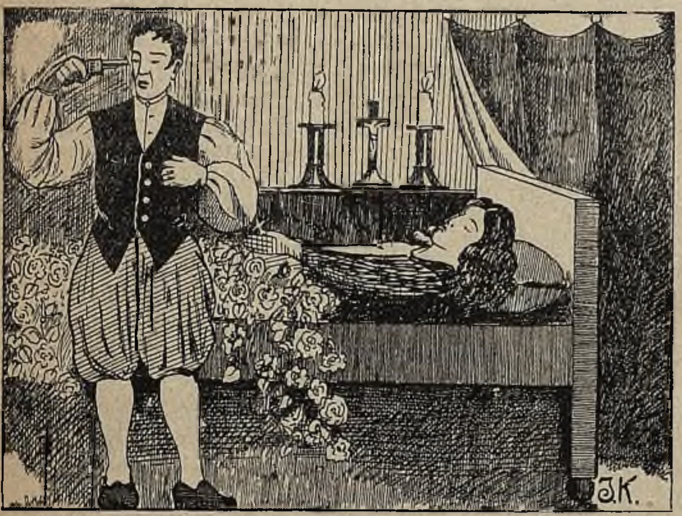
Pielgrzymki w Rzymie. Dnia 30 grudnia papież przyjął na audjencji 4 tysiące pielgrzymów, którzy przybyli do Rzymu z okazji uroczystości ku czci św. Ludwika i św. Stanisława Kostki. Wśród pielgrzymów znajdowali się przedstawiciele szeregu narodów, przyczem najliczniejszą była grupa polska. Po ceremonji ucałowania, papież wygłosił w języku łacińskim mowę, w której podkreślił cnoty obu świętych.

Masowy obłęd religijny. Masowy obłęd religijny wydarzył się w rodzinie Ziglitzów, składającej się z żony, męża, 4 córek i dwóch synów we wsi Gryzliny, pow. lubawskiego. Rodzina ta przestała się zajmować gospodarstwem, inwentarzem, nie wychodziła absolutnie z domu. Wszyscy leżeli w łóżkach, podobni do szkieletów, bez ubrania, modląc się nieustannie. Gdy po kilku dniach zaniepokojeni sąsiedzi wtargnęli do mieszkania, oczom ich przedstawił się straszliwy widok. Na tapczanach lub na podłodze leżała cała rodzina. W stajni kilka krów i koni leżało martwych. Reszta inwentarza była pogryziona i zdychająca z głodu. Gdy obłąkanych starano się wynieść z domu i umieścić na wozach, które miały ich przewieźć do szpitala dla obłąkanych, trzymali się kurczowo za ręce, tak, że ich siłą trzeba było rozdzierać. Jęczeli tylko „Mein Gott, mein Gott".

Tragedja w haremie. Nazli Kadrie, druga żona ostatniego tureckiego sułtana, zamieszcza w pewnem piśmie tureckiem interesujące wspomnienia, rozświetlające mroki tajemnic, zamilkłych — zda się — na wieki, a związanych z pałacami sułtańskiemi nad Bosforem. Oto jeden epizod z pamiętników sułtanki. Wśród niewolnic haremowych, przeznaczonych do przybocznej posługi sułtance, znajdowała się niezwykle piękna czerkieska, którą nazywano Nailą. Dziewczyna była do pani bardzo przywiązana i nie opuszczała jej nigdy. Również sułtanka opiekowała się serdecznie dziewczęciem, którego dusza daleka była od nikczemności i upodlenia przeważnej części niewolnic haremowych. Ale zdarzyło się, że w jakiś sposób ujrzał Nailę siostrzeniec sułtana, młody 25-letni, znany z brzydoty i okrucieństwa Medjid. Medjid udał się do ciotki z prośbą, aby mu niewolnicę odstąpiła. A gdy sułtanka kategorycznie odmówiła, udał się do sułtana. I ten jednak udzielił mu odpowiedzi odmownej. Medjid na pozór zrezygnował z pięknej Czerkieski. Ale trudności, które musiał zwalczyć, zamiast go zniechęcić, jeszcze bardziej go podnieciły. W pewien czas potem Naile zniknęła bez śladu. Wszczęto gorliwe poszukiwania, przetrząśnięto również pałac Medjida — ale naprożno. Medjid zainterpelowany w tej sprawie, oświadczył stanowczo, że nic o tem nie wie. Zapewniał tak gorąco, że musiano mu wreszcie uwierzyć, zwłaszcza, że przecież niewolnicy w pałacu nie znaleziono. Sułtanka bardzo żałowała ukochanej służącej, ale niebawem zapomniała o niej. W rok póź-

niej — jak wiadomo — Medjid został zamordowany. Jako zabójczynię ujęto właśnie Nailę. Okazało się później, że brutal uprowadził Czerkieskę i przez pewien czas ukrywał ją tak sprytnie, że nie zdołano jej znaleźć. Dziewczyna zaprzysięgła mu zemstę. I dokonała jej rzeczywiście. Oczywiście za ten czyn czekała ją kara okrutnej śmierci. Wdała się jednak w tę sprawę sułtanka i zdołała gorącem wstawiennictwem skłonić sułtana do przebaczenia Naili. Czerkieska żyje po dziś dzień i jest zaufaną towarzyszką sułtanki, nie odstępującą jej ani na krok. Należy zaznaczyć, iż dwukrotnie już odwdzięczyła się pani, ocalając jej życie.

Tragedja rodzinna. Dziwnemi drogami chadza miłość. Doprowadza do tak tragicznych i niezwykłych powikłań, że trudno z takiego położenia znaleźć wyjście. Stało się to w Slawonji Marjo Kablarowicz, młody wieśniak, poślubił przed trzema laty młodą dziewczynę Marję Juricz i zamieszkał u jej ciotki, Olgi Juricz. Marjo był pięknym chłopcem, a ciotka zachowała jeszcze usposobienie bardzo romansowe. Rezultatem tego było, że ciotka zakochała się na zabój w pięknym Marjonie. I nie ukrywała się z tem? Ale Marjon nie odpowiadał zupełnie na zakochane spojrzenia i wyznania ciotki. — Porwana wściekłą zazdrością ciotka zaczęła prześladować młode małżeństwo. Dom huczał od codziennych kłótni, awantur i bójek. Trwało to tak przez pewien czas, aż skończyło się tragedją. Marjo, nie mogąc znieść dłużej takiego życia i zalecanek ciotki, zastrzelił ją i żonę.



Przystroiwszy następnie kwjatami zwłoki żony, którą bardzo kochał, popełnił samobójstwo. Najłatwiejszy to sposób usunięcia trudności życiowych, ale czyż nie większem bohaterstwem jest życie wśród trudności, aniżeli uciekanie od nich zapomocą samobójstwa?

Gromadne egzekucje w Tyflisie. Z Tyflisu nadchodzą wiadomości o dokonanych tam przez władze sowieckie gromadnych egzekucjach. W całej Gruzji panuje teror, skierowany przedewszystkiem przeciwko socjalistom. Co dwa tygodnie specjalny trybunał wydaje wyroki śmierci przeciwko licznym więźniom. Liczba rozstrzelanych ostatnio wynosi przeszło 500 osób. Prócz egzekucyj stosowane jest gromadne wydalanie działaczy gruzińskich na wyspy Sołowieckie oraz na Syberję. — Między innymi ostatnio wydalono szereg zasłużonych gruzińskich działaczy, w tej liczbie sędziwego Salomona Teljego, Antoniego Cuładzego, byłych członków konstytuanty rosyjskiej Bolwadzego i Machwiladzego oraz znaną działaczkę gruzińską Carachwelidze.

Defilada straceńców. W nowojorskiem więzieniu Sing-Sing wprowadzono nowy zwyczaj, iż skazańcy, idący na stracenie, muszą przedefilować obok cel i pożegnać się z więźniami. Przed kilku dniami odbyła się właśnie taka ceremonja, która wywarła na mieszkańcach Sing-Sing wstrząsające wrażenie. Prowadzono na śmierć trzech morderców, skazanych za obrabowanie i zamordowanie staruszki. Najstarszy ze zbrodniarzy liczył lat 26, dwaj inni zaledwie po 21 lat. Przechodząc obok cel zalewali się gorącemi łzami i podawali ręce więźniom, żegnając się z nimi i wyznając swe winy. Skazańcom towarzyszyli trzej pastorzy, którzy pocieszali idących na śmierć. Głuche milczenie zapanowało w Sing-Sing, gdy przeszedł ponury orszak. Świadek tej ceremonji zapewnia, iż była to scena, której nikt nigdy nie zapomni, kto ją raz oglądał.

Taniec na czworakach. Jedną z najświeższych nowości tegorocznego karnawału w Ameryce będzie taniec tak zwany charleston, tańczony na rękach i nogach. Mistrz sztuki tanecznej Yerson uczy już damy nowojorskie tego „uroczego“ tańca, który ma być uzmysłowieniem walki dwu drapieżnych zwierząt. Ot, nie mają co ludzie robić, to wymyślają byle głupstwa.

Jubileusz w więzieniu. Niedawno odbyła się w więzieniach St. Zjednoczonych rewizja urzędowa, podczas której wyszło na jaw, że światowy rekord w siedzeniu pobił niejaki J. Harding z Bostonu. Został on przed 50 laty — jako 13-letni chłopak — skazany na śmierć za morderstwo. Ponieważ jednak był aż zanadto niepełnoletni, więc mu karę zamieniono na ciężkie dożywotnie więzienie. W tem więzieniu nieźle widać mu się powodzi, skoro wytrwał w nim aż do tej chwili i przygotowuje się do jedynego w swoim rodzaju jubileuszu.

Straszna niewdzięczność. W Pensylwanji żyją ludzie pod wrażeniem niesamowitej zbrodni, która zdarzyła się przed tygodniem. W jednem z tamtejszych miast rozpoczął praktykę lekarską bardzo utalentowany lekarz Dr Eleazar Johnson. Jakkolwiek był murzynem, cieszył się zaufaniem białych pacjentów. Pewnego dnia wezwano doktora do młodej pacjentki Miss Kathee Sturs, która zachorowała na ospę. Czarny lekarz nie odstępował jej na chwilę i po długich staraniach przyprowadził ją do zdrowia. Między młodymi zawiązał się serdeczny stosunek i Miss Kathee oświadczyła swym rodzicom, iż poślubi murzyna. Postanowienie takie wstrząsnęło rodziną panny. Dziewczyna obstawała przy swem postanowieniu, wyznaczyła kochankowi schadzkę, by tajemnie wziąć z nim ślub. Na godzinę przed zaślubinami znaleziono Dr. Johnsona z przestrzeloną skronią. Śledztwo ustaliło, iż lekarz został zamordowany, a sprawcą tej zbrodni był rodzony brat jego narzeczonej, który nie chciał dopuścić do „takiego skandalu“, za jaki uważany jest w Ameryce ślub białej z murzynem.

20 lat snu. Dzienniki angielskie donoszą z Johanisburga, iż w tamtejszym szpitalu leży pogrążona w śnie od lat 20 pewna kobieta. W roku 1906, po stracie swego narzeczonego, zapadła w głęboki sen i w żaden sposób nie można jej obudzić. Śpiącą kobietę karmią sztucznie co dwie godziny. Lekarze zauważyli, iż u śpiącej następuje już częściowy zanik mięśni. Lepiej byłoby dla niej, aby się nie obudziła z tego długiego snu. Jest bowiem już sama na świecie, gdyż cała jej rodzina wymarła, a majątek rozgrabili obcy ludzie.

Rekord... krowy.] Krowy kanadyjskie posiadają uznanie rolników całego świata. Świeżo odbyty konkurs mleczarski w Montrealu potwierdził słuszność tej pochlebnej opinji. „Nelly Osborne“ bowiem, krowa należąca do kanadyjskiego farmera, pobiła światowy rekord. W ciągu 365 dni dała ona 22.151 litrów mleka, zawierających 909 funtów masła! Roczna produkcja tej krowy wynosi 22.223 litrów mleka.

RZECZY CIEKAWE.

Choinka i jej poprzedniczki.

Panuje powszechne przekonanie, że zwyczaj urządzania i przyozdabiania drzewek, czyli tak zwanych choinek na Boże Narodzenie, rozszedł się po świecie z Niemiec. A przecież jest to rzecz wątpliwa, gdyż o wiele wcześniej gdzieindziej przyozdabiano drzewka w pewnych okolicznościach. Przyozdabianie to nie było związane z Bożem Narodzeniem, ale przecież istniało. Najdawniejsza wiadomość o takiem oświetlonem drzewku pochodzi z Chin, gdzie w 715 roku przed narodzeniem Pana Jezusa pewnemu księciu przyszło do głowy ustawić na szczycie góry drzewo, obwieszone setkami palących się lampek. Z jakiego powodu to uczynił, niewiadomo. W roku 1503, a więc w czasie, gdy jeszcze o drzewkach wigilijnych nikt ani u nas ani w Niemczech nie słyszał, pewien Włoch, nazwiskiem Ludovice Bartomane, znalazł się w dniu 25 grudnia w pobliżu Kalkuty i zobaczył przy świątyni Buddhy dziwne zjawisko. Oto tuż obok świątyni znajdował się staw, otoczony staremi drzewami, pokrytemi gęsto lampkami. Bartomano dowiedział się od mieszkańców, że rok rocznie w dniu 25 grudnia święcą oni w ten sposób uroczystość na cześć Buddhy. A nawet we Francji używano oświetlanych drzewek jeszcze w XII wieku. W starofrancuskiej opowieści „Durmars“ znajduje się opis takiego drzewka. Oto na szczycie drzewka umieszczone było dzieciątko Jezus, które miało oznaczać ukoronowanie i najwyższą doskonałość ludzkości. Po bokach były umieszczone światła, oznaczające ludzi dobrych. Drzewa te oświetlano jednak nie na Boże Narodzenie, ale w celach widowiskowych.

Ważność tłuszczu w zimie.

Wielu ludzi unika starannie tłuszczu, mówią, że nie mogą go znosić i odrywają najmniejsze jego kawałeczki z każdego jedzenia. Jest to postępowanie bardzo niepraktyczne, gdyż tłuszcz jest niejako materjałem opałowym, który szczególnie w zimie jest ważny. Dorosły człowiek potrzebuje go dziennie 60 gramów, przyczem trzeba zauważyć, że tłuste mięso, masło itp. nie są czystym tłuszczem, lecz zawierają w wielkiej ilości wodę. Jeżeli jada się zawsze tylko chude potrawy, to ciału brakuje materjału ogrzewającego i przez to człowiek chudnie, gdyż organizm zużywa tłuszcz znajdujący się w ciele ludzkiem. Dostarczenie więc ciału tłuszczu, zwłaszcza w zimie, kiedy ciało potrzebuje wiele ciepła własnego, jest niezbędne do utrzymania zdrowia.

Idealne teściowe.

Może być, iż dlatego, że każda matka dba o swą córkę i stara zapewnić jej jak najprzyjemniejsze życie, kiedy ta idzie na swoje gospodarstwo, teściowe u nas nie są lubiane przez zięciów. Po największej części niesłusznie, ponieważ zięć powinien odczuwać wdzięczność dla teściowej za troskę, jaką ona otacza swą córkę. Ale nie wszędzie jest tak źle, jak u nas. Naprzykład w Indjach każdego roku na wiosnę święcone są uroczyście tak zwane „święta zięciów“. Teściowe urządzają wówczas dla zięciów uczty, podczas których zapychają ich poprostu wszelkiego rodzaju przysmakami. Tak samo rosyjskie wieśniaczki przesadzają się w uprzejmościach dla zięciów. I w Syberji zięciowie są szczęśliwi. Jeżeli syn w domu ma ochotę na jakąś dobrą potrawę, to namawia matkę, aby zaprosiła szwagra, gdyż wie, że wtenczas najwyszukańsze przysmaki zjawią się na stole. Lecz i nawzajem zięciowie w tych krajach wielką czułością otaczają matki swych żon, co zresztą wszędzie być powinno choćby z wdzięczności za to, że te największy swój skarb oddały bądź co bądź w obce ręce.

Mówiące portrety.

Bogaci Amerykanie wymyślili na tegoroczną „Gwiazdkę“ dość oryginalne podarunki, a mianowicie mówiące portrety. Są one urządzone tak, że za portretem danej osoby umieszcza się gramofon, na którego płytach są uchwycone najczęstsze odezwania się sportretowanej osoby. Więc naprzykład pan domu ofiarował swej połowicy swój portret, który ustawiony odpowiednio, przemawia w razie puszczenia gramofonu w ruch mniej więcej w następujący sposób: — „Więc znów stary pijaku wracasz po północy do domu! Niech mi się to jeszcze raz powtórzy, a kości ci połamię!“ itp. W ten sposób pan ów, o którym mowa, chciał odzwyczaić swą połowicę od robienia mu nieprzyjemnych wymówek. Są i przyjemniejsze odzywania się, zależy to wszystko od okoliczności.

Oryginalne procesy.

Jedną z wielkich wad niektórych ludzi to jest chęć procesowania się. Często na procesach wychodzą obydwie procesujące się strony bardzo źle. Korzystają przeważnie adwokaci. Jako fakt niech posłużą spadkobiercy biskupa Demetry, który umarł w 1768 roku i pozostawił po sobie 6 miljonów koron majątku. Spadkobiercy nie mogli się pogodzić i rozpoczęli proces, który trwał 132 lat. Gdy nareszcie w roku 1890 przyszło do zgody, koszta procesu urosły do takiej sumy, że spadkobiercy otrzymali zaledwie po 25 koron; resztę wzięli adwokaci i pochłonęły inne opłaty. Dickens, znakomity powieściopisarz angielski opowiada o podobnym procesie spadkowym. Pewien bogaty plantator pozostawił olbrzymi majątek, o podział którego spadkobiercy rozpoczęli zawzięty proces. Po 46 latach okazało się, że cały majątek został przeprocesowany, a o wyroku nie było jeszcze mowy. Spadkobiercy zaprzestali procesu, gdyż do spadku nikt nie chciał dokładać. W roku 1882 ukończono we francuskiem mieście Campan proces, który trwał 628 lat. W Hiszpanji koszta jednego procesu wyniosły 24 miljony, a trwał on przeszło 200 lat.

Hodowla kanarków w Polsce.

Ogólna liczba miłośników kanarków w Polsce sięga 20.000. Poza miłośnikami, hodującymi po kilka kanarków dla przyjemności, w Polsce jest 800 hodowców na większą skalę (t. zw. hodowcy kanarków na produkcję), którzy hodują po kilkaset (100—300 sztuk) kanarków i również po kilkaset tych miłych ptasząt rocznie produkują. Hodowcy kanarków na produkcję są zorganizowani w specjalnych klubach, które istnieją w większych miastach. Ogółem istnieje 40 klubów. Najwięksi hodowcy i największa ich liczba znajduje się na Górnym Śląsku.

Pierwsi mieszkańcy Ameryki.

Jak wiadomo, gdy Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę, zastał tam już ludzi od dawien dawna żyjących. Zachodziło więc pytanie, kto w rzeczywistości pierwszy przybył do tej nowoodkrytej części świata. Długo nikt nie mógł znaleźć stanowczej na to odpowiedzi. Dopiero angielskiemu archeologowi, Dr Rogersowi, udało się na podstawie licznych wykopalisk w Kali-

fornji, na Alasce i w Meksyku ustalić ponad wszelką wątpliwość pierwszych mieszkańców Ameryki. Pierwotnymi mieszkańcami Ameryki, według twierdzenia Dra Rogersa, byli Szumaszowie, którzy przeszli do Ameryki prawdopodobnie z północno-wschodniej Azji. Przeszli, gdyż w odległych czasach była Ameryka połączona z Azją językiem lądowym, przerzuconym z Kamczatki na Alaskę. Szczepy te osiadły pierwotnie na Alasce na dzisiejszym półwyspie Stewarda, gdzie jeszcze i dzisiaj znajdują się wyraźne ślady ich osiedlisk. Później przeszli do Kalifornji, skąd część ich wyruszyła do Meksyku. Pierwszą historyczną datą, jaką posiadamy o tej dziwnej rasie żółto-brunatnej, jest rok 1542, kiedy to Cabrillo w 50 lat po odkryciu Ameryki przez Kolumba wylądował w dwóch łodziach w Santa Barbara w Kalifornji i około Złotego Rogu i przylądkach Mendocino prowadził handel z Szumaszami. Opisuje on ich jako ludzi pokojowych i gościnnych, posiadających duże łodzie rybackie, ubierających się w skóry, a żywiących się wyłącznie surowemi rybami. W czasie od roku 1542 aż do końca XVIII stulecia, tj. w czasie okupacji hiszpańskiej — topniał ten lud ogromnie szybko, tak, że ostało się ich zaledwie kilka tysięcy dusz. W roku 1884 było Szumaszów jeszcze 40, a obecnie żyje już tylko jeden Szumasz, w Santa Barbara, w Kalifornji, nazwiskiem Jean Eusto. Jest to starzec 70-letni, żyjący w opuszczeniu. Po zetknięciu się Szumaszów z białymi, choroby i wódka wyniszczyły zupełnie to plemię.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: Franciszek **Nowakowski** w R. Rozwiązanie zagadek z nru 6 dobre, niestety przyszło zapóźno, choć było nadane 29 grudnia. Poczta gdzieś przetrzymała. — Edward **Cygan** w Brz. Z nadesłanych utworów skorzystamy. Na przyszłość, o ile dobre będą, chętnie zamieszczać będziemy. — Stanisława **Weidlówna** w T. Maciek Bzdura poza tą fotografją, która jest w „Roli", nie ma innej. A szkoda, bo tak chętnie uczyniłby zadość życzeniu. I on do tego samego celu dąży, możeby i było co z tego. A możeby tak on pierwszy dostał fotografję? — Józef **Kulka** w B. Otrzymaliśmy, dziękujemy. — **Sikora-Sikorowicz** w W. Wierszyki dobre, ale pierwszy z nich zbyt napastliwy, dlatego nie do druku; drugi wydrukujemy. — Michał **Koprowski** w H. Szarady otrzymaliśmy — dziękujemy. — Senator Wojciech **Więcek** w W. Nadesłaną nam odezwę w streszczeniu zamieścimy w następnym numerze. Do obecnego przyszła zapóźno. — Jan **Kubielas** w P. Myli się Pan, sądząc, że w przeciągu tak krótkiego czasu można takiej pracy dokonać. Niektóre z powieści wymienionych przez Pana moglibyśmy później drukować. Nie mamy jednak pod ręką ich egzemplarzy. — Franciszek **Kurek** w P. Dotychczas otrzymaliśmy: 4 zł + 7 = 11 zł, do wyrównania nru 6 potrzeba jeszcze nadesłać 8 zł.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 4 stycznia b. r.

Pszenica	52·50—53·50	Słoma długa	5·00—6·00
Żyto	41·00—42·00	Ziemniaki stoł.	0·00—00·00
Owies	30·00—31·00	Koniczyna nasienn. czer.	420·00—450·00
Jęczmień	34·00—35·00		
Groch zwyk.	52·00 55·00	Mąka pszen.	90·50—91·50
Fasola biała	53·00 - 57·00	Mąka żytnia	62·00—63·00
Łubin żółty	31·00—32·00	Otręby żytnie	00·00—00·00
Siano słodk.	10·00 - 12·00	Otręby pszen.	26·00—27·00
Koniczyna	13·50—15·50	Pęcak zwycz.	49·00—50·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Giełda pieniężna. Złoty polski ustabilizował się i nie podlega większym wahaniom. Za dolara płacą nadal około **9 złotych**.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.: Stanisław Jackowski z Balic 1 zł., Jan Cetera z Kalwarji 2 zł. wzywając do wpłacenia takiej samej kwoty: pp. Józefa Kapuścińskiego, literata w Lipinkach, Wojciecha Ceterę w Chojniku, Adama Kurcaba w Chojniku, Józefa Kozłowskiego w Chojniku, Jana Czelušniaka w Wotowej, dyrektora M. Kotulskiego w Barwałdzie.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Józef Surmiński z K.)

■ ☆ ☆ ☆ Inaczej strach.
■ ☆ ☆ ☆ Ubiór księdza.
■ ☆ ☆ ☆ Uderzenie.
■ ☆ ☆ ☆ Przyrząd do szycia.
■ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ Napój.
■ ☆ ☆ ☆ Instytucja finansowa.
■ ☆ ☆ ☆ Nic.
■ ☆ ☆ ☆ Kobieta.
■ ☆ ☆ ☆ Co następuje po cierpieniu.
■ ☆ ☆ ☆ Ozdoba obrazu.
■ ☆ ☆ ☆ Góry.

Początkowe litery, czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko współpracownika jednego z pism polskich.

2. Szarada.

(Ułożył Jan Patulski z S.).

Pierwsza, druga, jak należy
Niemożliwa jest bez wieży,
Druga pierwsza dno mórz jeży
Trzecia wśród zaimków leży.
Całość to król, wszystkim znany,
Lecz i hazard zakazany.

3. Szarada.

(Ułożył T. Wójcik z T. R.)

Chociaż mnie nie ma miasto Warszawa,
Lecz zato jestem pierwszą w Belgradzie
I pierwsza byłam u Bolesława,
I pierwszą jestem w każdej biesiadzie.
Gdzie byłaś, będziesz, pierwszeństwo moje,
A nawet dobro dzielę na dwoje,
Bezemnie niema nigdy żadnego
Bogacza, ani także biednego,
W biedzie jam pierwsza, pierwszam w boleści
A nawet pierwsza na balu bywam,
A kiedy chcecie końca tej treści,
Baran wam powie, jak się nazywam.

4. Układanka.

(Ułożył Jan Piwowoński).

Podane niżej litery wpisać w pola kwadratu tak, aby utworzyły pięć wyrazów równobrzmiących w kierunku pionowym i poziomym:

a, a, a, a, a, d, e, e, e, e, e, e, g, j, k, k, k, n, n, r, r, t, t.

Znaczenie wyrazów: 1. imię męskie zdrobniałe; 2. imię żeńskie; 3. mieszkaniec Afryki; 4. panujący z wyboru; 5: służy do gry.

Termin nadsyłania rozwiązań do dnia 16 b. m.

Znaczenie zagadek z nru 1 podamy w numerze 3.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Zagalopował się.

— Heńku, czy będziesz mi zawsze wierny. Nie ożenisz się z inną?

— Bądź spokojna, najdrosza!... Jesteś moją narzeczoną i pozostaniesz nią na wieki.

Wiatrak.

Dziedzic, oprowadzając po majątku nowego ekonoma, wskazuje palcem na górkę piaszczystą:

— Patrz asan, na tej górze stał wiatrak...

— Widzę, widzę, jaśnie panie, jeszcze po nim nawet wiatr został...

Wspomnienie.

— Tak, tak, panie profesorze, jakem jeszcze chodził do szkoły, do pana profesora, to pan profesor często trząsł głową — ale co najważniejsza, nigdy swoją, tylko moją.

Trafna odpowiedź.

Majster (łaskawie do czeladnika, podając mu tabakierkę). Zażyj pan!... to oczyszcza mózg i daje rozum!...

Czeladnik (zażywa powoli i mówi z miną znawcy). Wcale niezła!,.. Ale pan chyba niedawno ją zażywa!...

W restauracji.

Gość: Hej! Kelner! Zupa jeszcze ujdzie, ale ten włos co w niej pływa, ten włos mi się nie podoba!...

Kelner: Jaśnie pan daruje, ale kucharka nasza ładniejszych nie ma!

Mądry Berek.

— Dlaczego, mój Berku, żydzi nie chcą być rolnikami?

— Ny, proszę pana, jakbyśmy byli rolnikami, to z kogobyśmy zyski ciągnęli?

Z Nowym Rokiem „Rola“ wychodzi co tydzień.

Prenumerata na rok 1927 wynosi:

Rocznie 12·— Złotych, — Półrocznie 6·50 Zł.

Kwartalnie 3·40 Zł.

Wobec licznych zapytań Czytelników donosimy, że w tym roku z powodu spóźnionej pory, kalendarza „Roli“ nie wydajemy. Zakupiliśmy jednak pewną ilość kalendarzy, które polecamy a mianowicie:

Wielki Ilustrowany Kalendarz Powszechny

Cena z przesyłką pocztową Zł. 2·75.

Pieniądze prosimy przesyłać także przekazami pocztowymi na **Konto pocztowe 406.301** z dopiskiem: na kalendarz.